Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II — Katowice — Wrocław — Szczecin, 19 maja 1946 r. — Nr. 14 (25)

Zbyszko Bednorz

List do knajpiarza szczecińskiego

Drogi Panie!

Anim Panu brat, ani swat, ale epistołę składam, bo mi się uzbierało kilka spraw do Pana. Zresztą, tak dobrze może to być list do przyjaciela Pańskiego, drogerzysty lub urzędnika magistrackiego, z którym razem piliście owego wieczora. Pan wszakże jest mi najbliższy, ponieważ właśnie z Panem najdłużej za moim pobytem w Szczecinie — rozmawiałem z tytułu przymusowego noclegu, jakiego udzieliłeś — Ty pionier morski, szczurowi lądowemu z Katowic. A i o tę to pionierskość morską, Drogi Panie, nieco mi dzisiaj chodzi.

Albowiem zdumiałeś mnie niepomiernie, kiedy opowiadając o Szczecinie tak prawiłeś:

— A no, byłżem ci raz nad tym morzem, w porcie u nas, i owiał mnie zdrowo ów dziejowy wiatr od morza.

Huknąłeś się teraz w swoją pierś knajpiarza i ciągnąłeś:

— Wiatr od morza — rozumiesz pan, Sienkiewicz — Żeromski — poprawiam,



Szczecin, kościół św. Jakuba.

— wszystko jedno, nigdyby nie przypuszczał, że ten tytuł jego wiekopomnej powieści znajdzie tu swoje miejsce w tej piersi pioniera. Co pan w ogóle wiesz o morzu i Szczecinie? Nie kto inny tylko my tu wbijamy słupy. My wieczne zaślubiny odbywamy z sinymi falami Bałtyku na tej właśnie piastowskiej ziemicy. Czy pan wiesz, że tu wszystko trzeba własnymi rękami? I ja należałem do pierwszych. Tę knajpę z narażeniem życia objąłem. Dwadzieścia pięć wózków śmiecia wywiozłem z tej izby samiuteńki. Człowiek był wszystkim: i służącym i kucharzem i stróżem i gospodarzem. Pionierka na zachodzie, a zwłaszcza nad polskim morzem, to nie łatwa rzecz. Kazimiero, nalej pani, pod pionierów!

Wiele rzeczy mi pan jeszcze opowiadał, czkając. Wierzaj, chciałem krzyknąć: do diabła, skończ pan, ale powstrzymywał mnie od tego ostatecznego kroku fakt nocowania potem gdzieś w bramie czy na dworcu, skoro literalnie wszystkie hotele były w tych uroczystościowych dniach Szczecina pozajmowane przyjezdnymi.

Pozwoliłem tedy swobodnie wlec się Twojej fantazji i róść Twemu nietrzeźwemu, nacechowanemu nieuctwem, bajdurzeniu. A także godnym Pana przyjaciołom — drogerzyście i urzędnikowi magistrackiemu. I innym jeszcze, tysięcznym przyjaciołom Pana, równie morskim, równie szczecińskim i równie pionierskim jak Pan, który nawet po kilku miesiącach pobytu w Szczecinie nie wiesz, że w Szczecinie nie ma morza, bo jest tylko Odra. Otóż to.

Więc piszę dzisiaj list do Ciebie, knajpiarzu szczeciński, i do was wszystkich pionierów, jak zdołałem zauważyć — święcie wierzących w swe pionierstwo: drogerzyści, urzędnicy, warstwo pracująca, kupcy i fryzjerzy, handlowcy z wolnej ręki, nowa klaso społeczna tobołczących, wieczni wędrownicy za warsztatem rzemieślniczym, wódkopije młodzi i starzy, budowniczy Polski nadmorskiej, których tylu widziałem w tym pięknym mieście z pod znaku Gryfa.

Chodzi o rzeczy poważne: trzeba skończyć z tym to pionierstwem i z czkaniem i z wędrowaniem, i z trzymaniem straży, proszę was. Trzeba się rzeczywiście przyjrzeć ziemi, na którą się przyszło i morzu, na które nie trudno wyjechać ze Szczecina statkiem.

Drogi Panie knajpiarzu, zauważyłem u was w Szczecinie, że wy tam począwszy od nb. zasłużonego prezydenta Zaremby, który już o swym posłannictwie dziejowym napisał kilka prac, aż do małego człowieczka, jesteście wszyscy nasiąknięci tym uroczystym pionierstwem i dzień każdy jest dniem czekania na coś jeszcze bardziej uroczystego, niż to co się już było stało. Mnie się wydaje, że trzeba pracować bez pionierstwa. A ową ulicę „Pionierów szczecińskich", jako curioscum, zamknąć dla ruchu kołowego i pieszego. Bo wie Pan, Drogi Panie, to wszystko jest już nudne. Nie ma się czym chwalić. Każdy kto przychodził tuż po przejściu frontu nad morze, na zachód, czy gdziekolwiek, zastawał to samo, co wy. Praca rzetelna i wywożenie śmieci z własnej knajpy, czy z własnego gmachu magistrackiego, to sprawa normalna i nie trzeba się bić w piersi i puchnąć do pochwał. A także słuchacie: wytrwać na posterunku choć niebezpiecznie i trudno — toć to kardynalny obowiązek urzędnika czy świadomego obywatela. Niechże za tym skończy się już owe nieznośne pionierstwo, którego pewnie nigdzie indziej nie spotkamy jeno u nas w Polsce. Zwłaszcza, że snadniej można by wywyższać takich, jak nauczyciel Omieciński, który przed tą wojną polskość w Szczecinie budował i reprezentował tutaj polską pracę bez rozgłosu, jak też bez rozgłosu w obozie koncentracyjnym zginął. Zwłaszcza też, że można by za pionierów de facto uważać tych polskich księży misjonarzy jak kapelana Wojciecha i kasztelana santockiego Pawlika, którzy byli właściwymi sprawcami otrzymania przez Polskę Szczecina w owych latach bolesławowych, latach pokojowej krucjaty polskiej na Pomorzu Nadodrzańskim. Poza tym nie róbcie sensacji. Nasz powrót tutaj jest naturalny. Dłużej i głębiej byliśmy z Pomorzem Szczecińskim powiązani, niż się to niejednemu z was wydaje. Sięgnijcie do książek, a zwłaszcza do Józefa Mitkowskiego „Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski". Tam przemówią dokumenta i zdumiejecie się z pewnością z powodu niejednej rzeczy.

Drogi Panie, wiadomo, masz inne kłopoty niż czytanie książek, ale książka czasami, a czasami dobre pismo periodyczne mogły by Cię wznieść wyżej nieco, niż wysokość szynkwasu.

— Kazimiero, nalej pani: pod pionierów.

Otóż knajpiarze, drogerzyści, urzędnicy, warstwo pracująca, kupcy i fryzjerzy, handlowcy z wolnej ręki i ty nowa klaso społeczna tobołczących, wieczni wędrownicy za warsztatem rzemieślniczym, wódkopije młodzi i starzy, nie wyobrażajcie sobie, że tym technicznym, nawet pionierskim, przy byciem waszym do Szczecina, że tą pracą i nie pracą zbudujecie cokolwiek w oddaleniu od treści historycznej i kulturalnej tej ziemi. Musicie ukochać przeszłość, by móc tworzyć teraźniejszość. Musicie pozwolić mówić na przykład Warcisławowi, a samym



Odra w Szczecinie.

dziś zamilknąć: „My Warcisław z Bożej łaski książę szczeciński, Pomorza, Sławii, Kaszub i Rugii zeznajemy, żeśmy uczynili i niniejszym czynimy przysięgę hołdu i wierności jasnemu księciu i panu Władysławowi królowi i królestwu oraz Koronie Polskiej..., obiecujemy także temuż królowi i królestwu Polski wszelkie poparcie, pomoc, radę i posiłki i życzliwość świadczyć skutecznie, osobiście i środkami naszymi, wbrew i przeciw każdoczesnemu mistrzowi i zakonowi Krzyżaków domu niemieckiego z Prus".

Drogi Panie, Szczecin nim się stał dzisiaj Twoją bazą handlową, był już niegdyś bazą polityczną, i to nie tylko w czasach piastowskich, ale także, gdy przybył tu król Stanisław Leszczyński, skąd wypuszczał pisma, tutaj po polsku drukowane, i skąd skierowywał do kraju oddziały partyzanckie. Wie Pan, a kiedyś u Wehrmana, niemieckiego historyka, wyczytałem, że w czasie sromotnej ucieczki Karola Gustawa z Polski, po potopie szwedzkim, „drangen die polnischen Scharen in Hinterpommern ein und kamen sogar bis in die Nähe von Stettin". To ci byli też nie byleja cy pionierzy, co?

Trzeba drogi Panie, samemu dziś zamilknąć, by się wsłuchać jak będzie mówiła owa zapisana w księdze szczecińskiej w średniowieczu domina Machtildis slavica

Perspektywa Odry

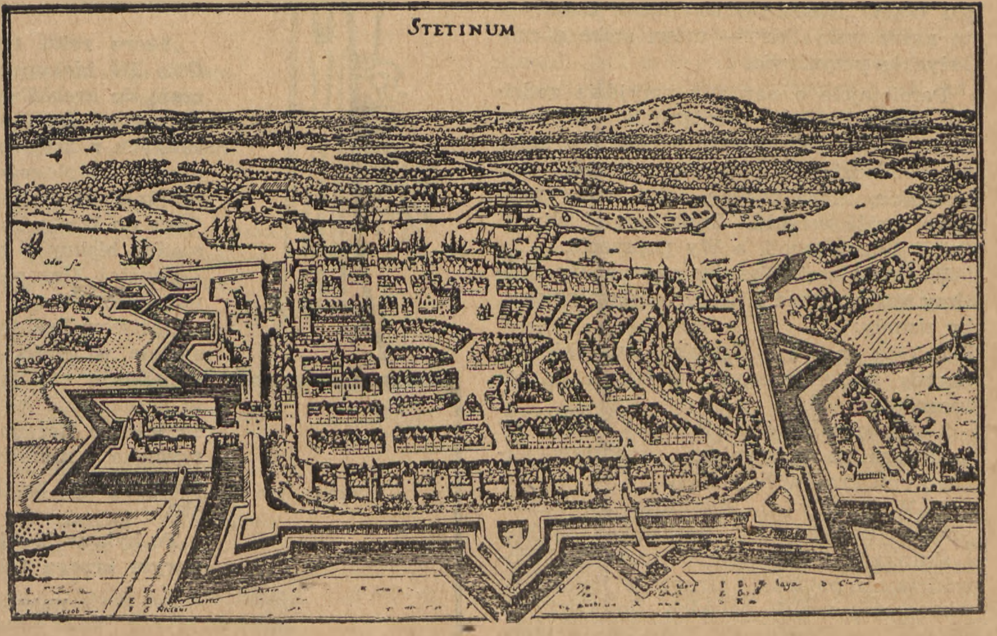
Wojewoda mazurski nie lubi, kiedy się mówi o jego kraju pesymistycznie, albo zanadto realistycznie. Wojewoda ma rację. Ale są sprawy, których za nic w świecie nie należy taić. Ziemia Mazurska leży na uboczu zainteresowań polskich. Moda na Ziemie Zachodnie właściwie się już kończy (to bardzo źle), a mody na ziemię mazurską w ogóle nie było. Toteż zarówno narastanie polskości na tej ziemi jak i tragedia jej autochtonów, tragedia większa od opolskiej, przechodziły i przechodzą w społeczeństwie naszym niepostrzeżenie.

A oto co wiemy o młodzieży mazurskiej. Do szkół na terenie województwa mazurskiego uczęszcza zaledwie 40% dzieci ludności autochtonicznej. Reszta nie chodzi do szkoły, bo nie posiada odzieży, obuwia itp. 75% dzieci autochtonów to sieroty, których rodzice zaginęli w czasie ostatnich działań wojennych. Inna wiadomość, podana przez ZAP: o warunkach, w jakich pracuje mazurskie nauczycielstwo świadczy fakt, że szkoły nie posiadają kredy, niezbędnej w pracy szkolnej. I jeszcze jedna cyfra dla zilustrowania tego potwornego stanu. 60% młodzieży mazurskiej choruje wenerycznie.

To tylko kilka ponurych cyfr. O tym jednak musi wiedzieć cała Polska, bo może dopiero wtedy ruszy na północ krucjata dzielnych Polaków, popłyną pieniądze, pomoce lekarskie, odzież, pomoce szkolne. Ziemia mazurska najbardziej spośród Ziem Odzyskanych potrzebuje pomocy! Młodzież mazurską trzeba ratować!

Pomoc, jakiej winniśmy udzielić Mazurom, musi wypływać ze zrozumienia istotnych spraw tej ziemi, które nie mogą nikomu w Polsce pozostać obojętne i musi być taka, iżby skutki tej pomocy w bliskiej przyszłości były na prawdę widoczne.

Wierzymy, że ze wzrostem zainteresowań dla ziemi mazurskiej pójdą w parze rzetelne wysiłki czynników kompetentnych i społeczeństwa, a skutki tych poczynań nie dadzą na siebie czekać.



Szczecin około r. 1650 (według Meriana)

pistrix, słowiańska piekarka; lub aby wysłuchać gwarów bitewnych polskiego wojska, przed półtora wiekiem maszerującego tutaj zdyscyplinowanymi pułkami i zdobywającego na Niemcach Szczecinek, Kołobrzeg, Starogard. A wodzem wojsku temu był wielki i piękny Dąbrowski, który w jednym rozkazie tak powiedział: „bo tu bijemy się o egzystencyję naszej Ojczyzny...“

Ale właściwie nie o tym wszystkim chciałem do Pana pisać. Chodzi mi głównie o tak zwane budowanie Polski morskiej.

— Pani Kazimiero, nalej pani.

Więc był kiedyś bardzo rubaszny szlachcic, Borzymowski, który umiał ocenić wielkość morza i tak m. in. orzekł: „i szumne morze co szeroko leje, ma swe statuta i swe przywileje“. Tedy zastanów się Pan i wy wszyscy panowie z kompanii zacnego knajpiarza: i szumne morze co szeroko leje, ma swe statuta i swe przywileje. Przecież nie macie o tym zielonego pojęcia.

Jakże silny musi być programo-morski Eugeniusz Kwiatkowski, skoro widząc was wszystkich, nie załamuje się. O. bo was, drodzy panowie, trzeba pierw samych odbudować, byście mu mogli potem być pomocni. Jeśli morze ma swe statuta i swe przywileje, toć winniście je poznać. Ale nie poznacie ich ani w knajpie, ani w drogerii, ani przy biurku, ani w pociągu. Los was zapędził nad morze. Poddajcie się więc fali, a ukształtuje was. Bo musicie przestać deklamować i reszcie narodu pokazać swoją moralność morską i pracę. Reszcie narodu, która jest jeszcze dalej od morza, niż wy. Tutaj — gdybyś czytał, drogi knajpiarzu szczeciński — poważną prasę i periodyki, nie znalazł byś w nich nawet deklamacji takich pustych o morzu, jakie wy tam wygłaszacie. Tutaj jest cisza. Nie ma miejsca na poważną dyskusję nad wysuniętym wielkim i małym programem morskim; tak zwana opinia nie ma widać nic do powiedzenia w tej sprawie. Czy nie słusznie woła za tym Kwiatkowski - Pierwszy, Odnowiciel, w swej broszurze, zatytułowanej „Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem“: „Mamy przecież do zdobycia rzecz najważniejszą i stokrotnie bardziej wartościową, niż wszystkie urządzenia tech niczne i wszystkie elementy czysto ekonomiczne. Mamy do zdobycia ludzkie umysły i serca! Jeśli to zdobędziemy, Polska będzie na prawdę nowa, potężna, suwerenna i zadowolona; będzie w istocie swej demokratyczna i cywilizowana; będzie bardziej spoista i bardziej odporna na niebezpieczeństwa zewnętrzne. Umysły ludzkie można jednak zdobyć tylko przez zaktywizowanie wszystkich sił twórczych, przez rozwinięcie wielkiej działalności w dziele odbudowy i pracy gospodarczej“. Przypuszczam, że to jest ważne nie tylko w odniesieniu do naszego programu morskiego.

Drogi Panie, u pierwszego kronikarza Polski, Galla Anonima, znajdujemy taką pieśń, którą pono nasze rycerstwo śpiewało w roku 1105 w czasie wyprawy Krzywoustego na ziemie, na jakich Pan obecnie dzierżysz swój lokal.

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące, —
My po świeże przychodzimy w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali, —
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie, —
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie!

(z łaciny tł. R. Grodecki).

Jak się Panu podoba ta pieśń? Czyżby ojcowie nasi mieli więcej instynktu morskiego, niżeli my? Kiedy tak nad tymi zagadnieniami myślę, wydaje mi się, że w nas, to jest w naszym pokoleniu, już chyba nie obudzi się prawdziwa dusza morska. Pewnie dopiero w pokoleniu, noszącym dzisiaj spodenki harcerskie. Jak bym się bardzo cieszył, gdyby syn Pański, którego poznałem jako morowego gimnazjalistę, prysnął Panu na morze w świat. Druga klasa — to właśnie taki wiek. Pan tego nie wie, ale zapewniam Pana, że Peyrol, Korsarz, ów wielki i dostojny Peyrol z conradowskiej powieści, był też synem jakichś biedaków, którzy nie mieli duszy morskiej. Nigdy by rodzice Peyrola (zresztą ojciec naszego Korsarza był nieznany, a nazwisko — Peyrol — skradzione) nie przypuszczali, że ich syn zbłądzi na morza i oceany. Że ich syn zdobędzie w sobie ową wspaniałą duszę morską, w której dostojność i powaga łączyły się z naiwnością dziecka, z odwagą męża i z ofiarnością apostoła. Że spokój i wykształcona bystrość uczynią go bohaterem i zwycięzcą w trudnym życiu. Że miłość morza uczyni go pełnym człowiekiem.

Drogi knajpiarzu, nam potrzeba na gwałt ludzi o duszy morskiej. Nam potrzeba Peyrolów i Lingardów. Bowiem zdajesz sobie chyba z tego sprawę: posiadanie tak dużego szmatu wybrzeża obliguje. Oto powiadam, drodzy obywatele wsiowi, miastowi i p o c i ą g o w i (tak by trzeba nazwać ową nową klasę społeczną tobołczących), musimy poprzez morze (pisałem już kiedyś o tym) stać się bardziej ruchliwi i przedsiębiorczy. Mniej małostkqwi, więcej szerocy w ocenie zjawisk. Więcej głębocy. Nie tak nawierzchniowo głębocy, jak głęboko w ziemię sięga pług, ale tak jak głęboko sięga kotwica okrętu. Musimy się nauczyć walczyć z niebezpieczeństwami, ale nie systemem dotychczasowym; w naszej naturze leży cecha walki nerwowej, krótkiej, histerycznej. Teraz mamy nauczyć się walczyć mądrze, na zimno, z rozwagą.

— Pani Kazimiero nalej pani, pod żywioł morza.

Tylko już nie czkajcie pionierstwem i swoich sukcesów nie bierzcie pod żagiel.

W końcu pragnął bym Panu donieść, że drogę powrotną ze Szczecina do Katowic odbyłem w towarzystwie trzech monterów śląskich z huty „Zgoda“, którzy tam w Szczecinie montują jakieś dźwigi na wybrzeżu golęcińskim; teraz jechali na urlop do swych rodzin, zdaje się do Świętochłowic czy do Halemby. Celowali dziwną — mimo swej wesołości — dyscypliną wewnętrzną. Kochali morze twardą pracą, o której szczegółach, trudnościach i przeszkodach żywo między sobą rozmawiali. Błąkała się w nich dusza morska. Mieli w sobie jakąś godność.

Drogi Panie! Ich mowa była mi stokroć milsza, niż dźwięk kielichów w Twej pionierskiej knajpie.

Zasyłam pozdrowienia z Katowic .

Belina

Trzy dokumenty

Leżą przede mną trzy dokumenty, obrazujące swoistą ewolucję sprawy serbołużyckiej w ciągu ostatnich pięciu lat.

Pierwszy z nich to **memoriał Serbo-Łużyckiego Komitetu Narodowego w Polsce z dnia 20 października 1942 r.**, wydrukowany na łamach podziemnego czasopisma „Sprawy Łużyckie“ (1/42).

„W chwili, gdy niemiecka potęga załamuje się na wszystkich frontach, a tysiące naszych braci Łużyczan ginie za obcą sprawę w szeregach znienawidzonej armii niemieckiej, zwracamy się do Was, Polacy, jako do przyszłych zwycięzców, z tym oto apelem:

— Na Was dziś patrzy cały świat. Nigdy jeszcze w ciągu tysiąclecia Waszych chlubnych dziejów nie oceniano Was tak wysoko, jak dziś.

Polska wyjdzie z tej wojny jako największy moralny autorytet w rodzinie narodów i największa potęga militarna na lądzie w Europie Zachodniej. Tego wymaga sprawiedliwość dziejowa.

A któż pamiętać będzie o nas, jeżeli Wy, jedyni Bracia, nie odwalicie wieka naszego grobowca! Któż wie o naszych Serbsko-Łużyckich narodach, które przez tysiąc lat znosiły to samo jarzmo, które Wy odczuwacie teraz. I przez tysiąc lat nie wyrzekły się swojej pięknej słowiańskiej mowy i miłości Ojczyzny.

...Z tęsknotą zwracaliśmy oczy i ręce ku Wam. „Nasze Lechy i nasze Czechy — to nasze wszystko“ — mówi stare górnołużyckie przysłowie.

Pamiętajcie o nas gdy przyjdzie godzina rozrachunku, pamiętajcie, że poza Nysą, która jest Waszą naturalną granicą na zachodzie, leżą ziemie, również słowiańskie, które pragną, jako wolne państwo wejść w skład Imperium Polskiego, jeżeli Bóg pozwoli, a Wy poprzecie.

W przeddzień Waszego zwycięstwa prosimy gorąco Rząd i Społeczeństwo polskie, by uznały:

1. Oba narody Serbsko - Łużyckie za narody sprzymierzone z Polską i jej sojusznikami.
2. Serbsko-Łużycki Komitet Narodowy w Polsce za uprawnione przedstawicielstwo obu krajów łużyckich.
3. Wyjednały u Aliantów zwolnienie jeńców narodowości Serbsko - Łużyckiej i skupienie ich w jedną grupę pod dowództwem polskim. Grupa ta byłaby po wkroczeniu wojsk polskich do Ojczyzny oddana do dyspozycji Serbo - Łużyckiego Komitetu Narodowego.

Jednocześnie prosimy Pana Ministra Seydę, członka Rządu Polskiego w Londynie, by zaopiekował się naszymi interesami na terenie międzynarodowym i udzielamy mu ku temu najszerszych pełnomocnictw“.

Seyda był wówczas ministrem Spraw Kongresowych i stąd niefortunny pomysł powierzenia mu obrony interesów łużyckich. Starszy Pan, który bał się własnego cienia, prawdopodobnie odchorował tę propozycję.

Ale Łużyczanie mimo to jeszcze wierzyli w Polaków. Dowodem tego drugi dokument: **List Otwarty do Premiera Churchilla**, napisany — nawiasem mówiąc — doskonałą angielszczyzną. Cytuję go poniżej w polskim tłumaczeniu zamieszczonym w tychże „Sprawach Łużyckich“ (2/43):

„Sir! Nie ośmielilibyśmy się pisać tego listu, gdyby nasz Komitet Narodowy, tak jak tyle innych, powstał na emigracji pod osłoną najlepszego na świecie lotnictwa królewskiego i niezawodnych angielskich dział przeciwlotniczych.

Odcięci od Imperium Brytyjskiego, rozrzuceni po krajach okupowanych, jako żołnierze i funkcjonariusze niemieccy, nie mamy możności informowania Brytyjskich Władz o losach naszej Ojczyzny. Niech to będzie usprawiedliwieniem dla nas, iż ośmielamy się ten list adresować wprost na ręce tego, który ma w ręku losy świata.

Małym jest dziś nasz naród, który reprezentujemy i który przez nasze usta zwraca się do Wodza Imperium Brytyjskiego, by błagać go o prawo do życia pod opieką bratniej Polski. Stulecie za stuleciem spychano nas na wschód, dopóki ziemi ojczystej nam pod nogami nie zabrakło. Jeszcze przed trzystu laty cała Saksonia i południowa Brandenburgia, aż po rzekę Salę mówiły naszym językiem, a ludność wiejska tych ziem ma dotychczas w żyłach conajmniej 80% krwi słowiańskiej. Sama nazwa „Saksonia“ została przeniesiona z nad morza na nasz odwiecznie słowiański kraj, aż w świadomości ogółu zatarła się pamięć o tym, że historyczna Saksonia leżała w okolicy dzisiejszego Hanoweru.

Przez tysiąc lat swych bestialskich rządów nie potrafili Niemcy, mimo wszystko, doszczętnie stłumić naszej świadomości narodowej. Drzemie ona w sercach zniemczonej ludności wendyjskiej na lewym brzegu Łaby (Elby), a głęboko tkwi w świadomości ich pobratymców z prawego brzegu, szczególnie w okolicach górnej i środkowej Szprewy. Te znaczne skupiska autochtoniczne ludności słowiańskiej, znanej w Anglii pod nazwą „Lower and Upper Wends“, stanowią dziś rdzeń naszego narodu i widomy znak jego odporności.

Sir! Jeżeli każdy naród ma prawo do okruszyny szczęścia to zaprawdę, myśmy na nie zasłużyli! Od roku 1032, tj. od wycofania się wojsk polskich z naszego kraju, przez 911 lat, opuszczeni przez wszystkich, wytrzymaliśmy wściekłą nawałnicę niemiecką. Na dziewięć wieków przed Hitlerem poznaliśmy wszystkie „nowoczesne metody“ walki, poczynając od masowych egzekucyj, kończąc na zaprzęganiu kobiet i dzieci do pługa. Niemcy zawsze byli jednacy, Sir, tylko umieli zręcznie maskować się przed Europą. Mieli przytem pod ręką zawsze jakąś „misje“, Jednych mordowali w imię Chrystusa, innych w imię kultury.

Dziewięćset lat beznadziejnej udręki, biernego oporu, przekazywanego z ojca na syna, przez dwadzieścia osiem pokoleń, to jest próba hartu, której nie wytrzymałby żaden inny naród Europy.

Nie jesteśmy bynajmniej, Sir, społeczeństwem ciemnych chłopów. W krótkim okresie względnej wolności, przed dojściem do władzy Hitlera, stworzyliśmy dość bogatą literaturę, teatr, prasę. Masowy powrót do mowy ojczystej rodzin, oddawna zniemczonych, wywołał swego czasu duże zaniepokojenie ówczesnych władz niemieckich. Byliśmy już na drodze do stopniowego odniemczenia ziem wendyjskich na prawym brzegu Łaby (Elby).

Dziś nasza ziemia to jedno cmentarzysko. Przetrwali tylko ci, którzy umieli ukryć swe pochodzenie. Osoby piszące ten list, życie zawdzięczają tylko temu, że uchodzą za stuprocentowych Niemców.



„Skoro roku 1000 Bolesław Chrobry i Otto III biskupstwo kołobrzeskie przyłączają do archidiecezji gnieźnieńskiej, skoro biskup Reinberu w ścisłych żyje stosunkach z księciem polskim, to nie może ulegać wątpliwości, że Pomorze wówczas należało do Polski i to Pomorze całe od Odry do Wisły, bo inaczej nie zakładanoby stolicy biskupiej właśnie w Kołobrzegu.

Poniżej Złegopola leżała ziemia lubuska pomiędzy Odrą i Sprową (Szprewą) a biskupstwem braniborskim. Że ta ziemia nie została wcielona ani do biskupstwa wiśnieńskiego ani do diecezji braniborskiej, ta okoliczność jest niewątpliwie dowodem, że jej nie liczono do dzierżaw cesarstwa rzymsko - niemieckiego, a jeżeli do niego nie należała, mogła być tylko ziemią polską.

To była w X wieku posiadłość Polski na lewym brzegu Odry“.

Wojciech Kętrzyński: Granice Polski w X wieku. Kraków 1894.

Ale nie pierwszy raz w dziejach naród nasz musi się stać niewidoczny. Na wiosnę, którą przyniosą nam na swych bagnetach żołnierze brytyjscy i polscy, okaże się, że żyjemy i tylko od woli Pańskiej, Sir, zależy abyśmy już żyli wiecznie.

Warunkiem naszej egzystencji w przyszłości jest oparcie się o bratni, a tak życzliwy, Naród Polski. Wyrazem tego przekonania był nasz memoriał z dnia 20 października 1942 roku, upoważniający Rząd Polski do przemawiania w naszym imieniu. Tym listem, który z najgłębszą czcią przesyłamy Waszej Ekselencji, uprawnienia Rządu Polskiego do przemawiania w imieniu naszego Narodu, jeszcze raz uroczyście potwierdzamy.

Serbsko-Łużycki Komitet Narodowy".

Komitet nie miał szczęścia w doborze adresatów. Wielka Brytania jest ostatnim mocarstwem, które zgodzi się na dalsze uszczuplenie terytorium Niemiec, a z całą pewnością nie wystąpi z podobną propozycją. Ale wtedy jeszcze łudziliśmy się wszyscy.

Z prawdziwą przykrością biorę do ręki trzeci dokument. Jest to **memoriał Komitetu Serbsko-Łużyckiego w Budziszynie z roku 1946**, wydany w Pradze, w językach: rosyjskim, francuskim i (prawdopodobnie) angielskim. Polskiego tekstu nie było.

Memoriał jest podpisany przez Jana i Jerzego Cyżów i Pawła Nedę. Podpisany, ale z całą pewnością nie napisany.

Pisały go jakieś złe ręce, które uwzięły się, by całkowicie odgrodzić wolnościowy ruch łużycki od Polaków, a poza tym pisały z zupełną nieznajomością zagadnienia, myląc daty i przekręcając fakty historyczne, (np. przebieg „wiosny Ludów" na Łużycach). Wszystko spreparowane tak, aby jasne było wszystkim razem i każdemu z osobna, że z Polską Łużyczan nic nie łączyło, nie łączy i łączyć nie będzie.

Polski na załączonej do memoriału mapie nie ma wcale. Jest tylko Rzesza i Czechosłowacja. No i Łużyce, które sięgają — nawiasem mówiąc — daleko na wschód za Bobrawę. Z równym powodzeniem mogłyby sięgać do Krakowa.

Dzieje przedstawione są wg. następującego schematu: najpierw parę słów o prehistorycznej kulturze łużyckiej, potem najazd Niemców, a następnie już tylko Czesi, Czesi i Czesi, którzy rozpaczliwie, aż do bitwy pod Białą Górą, walczą o Łużyce z Niemcami. O Bolesławie Chrobrym, o Mieszku II, o Henryku Probusie, ani o Zygmuncie Starym — Panu na Śląsku i Łużycach — ani słowa.

Autorzy mimo wszystko wiedzą chyba o tym, że dzisiejsze resztkowe terytorium Łużyczan pokrywa się całkowicie z zaborem Bolesława Chrobrego. To on położył tamę nawałnicy saskiej od zachodu i — przez fakt ochrzczenia Łużyczan i Milczan — uniemożliwił dalsze wyrzynanie ich w Imię Chrystusa.

A jeszcze dużo wcześniej — za rządów jego dziadka i ojca — pogańska Polska warowała u granic ziemi milczańsko-łużyckiej, nie dopuszczając do niej legionów łotrowskich Henryka Ptasznika i Ottona Wielkiego. Gdyby nie było jej tuż za rubieżami Łużyc w tych krytycznych wiekach X i XI — nie byłoby dziś i Łużyczan.

A z Czechami nie przesadzajmy znów tak bardzo. Luxemburczycy nie interesowali się wcale losem słowiańskich mieszkańców Łużyc, Habsburgowie — tym bardziej. Raz tylko bezpośrednio zetknęli się Łużyczanie z Czechami na własnym terytorium, gdy wtargnęły tam hordy Taborytów, plądrując miasta niemieckie i paląc wsie łużyckie. Ale o tym lepiej nie wspominajmy.

W XXI i XX wiekach, Czesi — przyznajemy to — zrobili dla Łużyc więcej niż Polacy. Ale i z naszej strony coś niecoś było zrobione (Bogusławscy, Parczewski). Poza tym Łużyczan dzieliło wówczas od nas „siedem gór i siedem rzek", a od Czechów tylko granica.

Reasumując wszystko daleki jestem od oskarżania trzech zasłużonych działaczy łużyckich o celowe odcinanie swego ruchu narodowego od Polski. Sytuacja Łużyczan jest w tej chwili tak rozpaczliwa. a czasu do konferencji pokojowej tak mało, że każda sugestia czeska, za cenę poparcia żądań łużyckich, będzie przez Komitet Serbo-Łużycki akceptowana.

Od nas, a przede wszystkim od naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych zależy postawa Łużyczan w najbliższej przyszłości. **Na terenie łużyckim powtarzamy fatalne błędy, popełniane poprzednio na terenie słowackim.**

My nie chcemy w Budziszynie ani Niemców ani Czechów — ani sami się tam nie pchamy. Chcemy Łużyc całkowicie niepodległych, stanowiących ogniwo łączące nas z Czechami, a nie bastion antypolski.

Czeska ekspansja niech szuka ujścia na terenach górnosaskich — na zachód od Połcznicy. Tę ekspansję pobratymców całkowicie i bezapelacyjnie poprzemy, bo pokrywa się ona zupełnie z interesami naszego Narodu, przez sąsiedztwo silnych Niemiec stale zagrożonego.

Aleksander Rymkiewicz

Gałązka jarzębiny

Fragment poematu »Wojenna jesień«

**Oni o nas mówili: Wasza Polska upadła,
niechaj świece zapalą, bo jest trupem i niczym.
— Ale gromy przeminą, nad zwęglonym obliczem
przyjdzie cisza, a wioski znów uderzą w kowadło.**

**Oni o nas mówili, że stoczymy się do dna,
że nam kruki zawodzą pogrzebowe chorały.
— Jeszcze z bronią u nogi nasze pułki słuchały,
była noc, gwiazda czysta niosła pieśni swobodne.**

**Myśmy stali we czterech, już pogasły wieczory,
czy to ziemia tak milczy, czy to pułk odpoczywa.
Jeśli cmentarz pod nogą, zapalimy łuczywa
— oto głowy na karkach, jak wzniesione topory.**

**Pierwszy mówić zacząłeś, księżyc lśnił na polanie:
„Chrystus przyrzekł na krzyżu wieczne win odkupienie,
spójrz — proroctwo spełnione, ciało obok kamienia,
ciało zgnije jak liście, a ten kamień zostanie.**

**„Ciężko wrogom wybaczać kiedy rośnie pożoga,
zmarłych my pożegnamy, księży tu nie potrzeba",
— „Pięście opuść — krzyknąłem — nie dosięgniesz ty nieba
i nie twoją jest sprawą sądzić martwych i Boga".**

**I umilkliśmy obaj, uszu tylko dobiegły
głosy ciche w ogrodzie i bagnetu brzęk w krzakach,
w chacie chłopak maleńki płakał, płakał i płakał,
jakby ciebie zrozumiał nad głowami poległych.**

**Znowu mówić zacząłeś: „Dwa tygodnie już Polska
szarpie świata sumieniem, jak srebrnymi dzwonami.
Niech pioruny uderzą. Jeśli winniśmy sami,
będą stryczki dla łotrów, a mogiły dla wojska.**

**„Hejże — dalej ciągnąłeś — idą szerokie kręgi
głodu „ciszy, szaleństwa i niedoli dziecięcej".
— Tu chwyciłeś za ramię zastygłego już Niemca:
„Oto nawóz żołnierski dla germańskiej potęgi".**

**„Milcz — przerwałem ci znowu — tutaj pokój jest bratni,
zasypani tą ciszą, połączeni krwotokiem.
Dziś honory im oddaj, bo nie twoje wyroki
sypią na nas dywizje i pociski armatnie".**

**A wojna dziwna, panie, wianuszek z rozmarynu
w żadne nieba nie wierzysz — tylko w naród i w piekło.
Kiedy hełm odrzucałeś, ja do chaty uciekłem,
już na progu słyszałem głuchy wystrzał z mauzera.**

**Wnieśli ciebie do izby i złożyli na ławie,
a podłoga skrzypiała, lampka ćmiła naftowa
— oto drzewo płonące, oto martwa już głowa,
oto miesiąc za oknem srebrną wartę ustawia.**

**Świt napływał powoli, drzewa cisnąc do gliny.
Ty — umarły, ja — cichy, noc przebyliśmy sami.
Rano chłopak maleńki z błękitnymi oczami
podszedł i na twej dłoni złożył kiść jarzębiny.**

— — — — — — — — — — — — —

**Słyszałem to wspomnienie wielkie i tragiczne
od tego, który wrócił. Przypomniałem dzisiaj:
„Ciężko wrogom wybaczać". Światło lunatyczne,
wydaje mi się widzę, niebo srebrem skrzy się
i wojenny obraz z tej nocy się wygina:
to dziecko, ten poranek i ta jarzębina.**

**Chociaż ciebie nie znałem, chociaż nie wiem nawet
jakie imię nosiłeś, może święte Piotra,
albo wiatrem szumiące, wielkie Bolesława,
ale wiem: dokąd tylko strofy moje dotrą,
twoja twarz nieznajoma z wojennej zamieci
wszystkim ludziom zabłyśnie, tak jak mnie dziś świeci.**

**Noce płyną olbrzymie. Słyszę wtedy w górze,
że ten wiatr, który szarpie oknami pokoju,
pyta: czy to są ranni, a tam drzewa stoją,
pod drzewami ty znowu przystajesz w mundurze
i twój cień — mnie się zdaje — ustami porusza
i na ranę wskazuje i wzywa Chrystusa.**

**„Będzie sąd nad żywymi wielki, ostateczny,
do krwi Boga krew ludzką z naszej ziemi dolej.
Pójdź, staniemy na górze, oto ogień wieczny,
oto miasta rozbite, oto martwych pola,
lecz pamiętaj, że patrząc na te kraje mgliste,
odkupienia dziś nie ma, dziś oskarżaj Chryste.**

**„Jeśli wziąłem krabin i byłem żołnierzem,
gdy mam wrogów miłować słowami Twej wiary,
niechaj gwiazdy, co w górze na łańcuchach leżą
dopadną i zagryzą winnych jak ogary.
A potem z okiem szklanym za grobową ścianą
oskarżę jeszcze straszniej samobójczą raną".**

**Jakie drzewa tu szumią, przecież ciebie nie ma,
twoje ciało wrzucono do rozmokłej gliny,
nie przykryto twej trumny sztandarami trzema,
tylko dziecko żegnało kwiatem jarzębiny
— więc ta pieśń niech ci będzie pogrzebowym ptakiem,
kiedy jestem poetą i jak ty — Polakiem.**

— — — — — — — — — — — — —

**Napróżno sprawiedliwości szukasz — noc mi odpowiada
— ja nie znam żadnych praw, tu księżyc tylko pływa
i my z księżycem wiemy, że prawem tylko siła,
ty sam nie wierzysz w żadną sprawiedliwość żywą.**

**Pocóż cień żołnierski wzywał na sąd Chrystusa
gdy tam u góry milczy tylko gwiezdna pustka,
to ja — noc jedynie gwiazdami poruszam,
a sławę i złoto ludziom rozdaję jako bóstwa.**

**Taki już wiek poeto i czas już abyś poznał
moje prądy, które kierują ludzkim czynem,
a pomiędzy narody znowu ujarzmione
rozdzielą sprawiedliwość nabitym karabinem.**

**Zboża milionowe spalę w ciężkich wojnach,
ale głodnym nie oddam ani jednego ziarna,
bo cóż mi ten trud człowieczy uwięziony pode mną,
bo poto jest trud człowieczy aby szedł na marne.**

**Głupcze, słuchasz skrzypienia kół na których bieda
maleńkie dzieci polską drogą wiezie,
a ja noc odwieczna, mam gwiezdne okopy
i kocham wojny, pożary i narodów rzezie.**

**Kiedy zaś z tego miasteczka zostaną ruiny
i będzie wiatr z kominów płatami strząsał sadze,
pułk nadejdzie zmęczony i na polowym stole
niech prawa ustanawia — im udzielę władzy.**

**A tobie mój poeto na twarde przypomnienie
rozmowy zapomnianej dawno już godziny
— o świcie na ich hełmy gwałtowny wczesny wiatr,
jak mały chłopak rzuci gałązkę jarzębiny.**

**Dokoła zręby domów i spalone belki
i dym gdzieś oddalony aż za lasem ginie,
tutaj gdzie człowiek mieszkał nim go zakopali
rozwijaj się, rozwijaj o mój rozmarynie.**

**A wojna dziwna panie wianuszek z rozmarynu
splecie i na drodze w wianuszku się ukaże.
Ty zaś poeto zawsze miej odwagę spojrzeć
mogiłom polskich pułków w piaszczyste proste twarze.**

**Chciałem noc zapytać dlaczego mi to mówi,
nie moją przecież ręką bagnety były kute.
— Lecz już zaczęło świtać, a za oknem słyszę
w rodzinnym mieście tupot żołnierskich obcych butów.**

— — — — — — — — — — — — —

**I poszła noc daleko, podobna czarnym lodom,
ogromna i szeroka, aż hen do gór i morza,
a tam gdzie idzie nuci, słuchają — głucho nuci
pogańskie kołysanki podbitym znów narodom.**

**A tu już dzień i miasto i rzeka się wygina
i ptak przecina niebo krzyczącym, szybkim lotem.
Jest jedna polska droga i dom za niskim płotem
i rośnie tam w ogrodzie jak wtedy jarzębina.**

**I dziś mi przypomina jesienna ta jagoda,
że to co wczoraj rosło, to dzisiaj się zawala
— choć ujrzysz błysk siekiery, lecz nie dostrzeżesz drwala
i świeci jasnym kręgiem przecięta równo kłoda.**

**Pojąłem jakże wiele, już noc mi nic nie rzuci.
Jak w tamten ciężki wieczór nie wyjdziesz ty zza domu
i hełmu już nie zerwiesz, ty martwy nieznajomy
i chłopak na twą rękę gałązki już nie rzuci.**

**Bo czas upłynie długi nim pojmiesz ludzkie dzieje.
Ty wtedy nie czekałeś, więc pokój twoim cieniom.
Dziś kiedy wiatr przegina głowy znów jesieniom,
to czasem jakby we mnie ta jarzębina chwieje.**

Hanna Malewska

PAN CZARNOLESKI

Fragment powieści pt. „Zygmunt August i Barbara"

Coraz dziwniejsze były obyczaje króla Zygmunta. Nawet zwykłe sprawy dzienne inaczej układał niż ktobądź. Śniadanie jadał przed świtem, obiad o dziesiątej — i co za obiad, jakieś włoskie listki, jakieś ostrygi obmierzłe, z kroplą węgierskiego wina — zdarzało się, że po szóstej już spał.

Ale trudniej jeszcze z nim było, kiedy go jakie wspomnienie napadło. — Tego dnia widzieć nikogo nie chciał, jadł sam, radę odłożył.

Wcześnie padł zmierzch zimowy. W dole, z okien, z otwartych drzwi smugi żółtego światła kładły się na wawelski dziedziniec i buchał gwar, śmiech stłumiony. Dworzanie nie nucili śpiewek, widząc melancholię pana, ale zapijali tym mocniej prywację swoją i niejeden już wysunął się z dymiącą czupryną blwać gdzieś po kątach.

Zygmunt August w popielicowym futrze na ramionach, a czapce na uszy wyszedł na swój górny krużganek i chodził bez szmeru — w miękkich safianowych butach — od kolumny do kolumny, spoglądając na młody księżyc, jak blado gra po śniegach. Na dole przez drzwi ziejące kłębami nagrzanej pary wysunął się chwiejnie cień wysmukły, z rozpostartymi dla równowagi rękoma. Kroczył tak wstrząsając głową, jakby z niej oprzęd jaki zrzucał, a w tem z góry, z komnaty królewskiej popłynął cichy kurant nowego, włoską sztuką uczynionego zegara — i cień zatrzymał się, słuchał. I naraz — zagwizdał to samo, srebrzyście, i raz jeszcze, i raz jeszcze, zadzierając głowę jak kos. Skończył i został tak z podniesioną głową. Patrząc w niebo, właśnie jakby po raz pierwszy je zobaczył. A niebo było wygwieżdżone świetnie w obramieniu dachów zamkowych, jakby wysoki baldachim. Młodzieniec odstąpił krok i usiadł na kupie śniegu, wspierając łokcie na kolanach i tak trwał z głową w górę i na bok złożoną, jakby słuchając wciąż pilnie, ale już muzyki niedosłyszalnej dla ucha.

— Kochanowski! Hej!... Zatknęło chyba na mrozie chłopa!

— Kochanowski! Pijanico! — kompania wzywała coraz natarczywiej.

Zygmunt August poczuł chłód i cofnął się do komnaty. Może by i on kiedy tak zawołał stąd, z góry: Kochanowski! I tamten przyjdzie tu, śmiejący się, młody. Padewski scholar i słodka lutnia. A toż jest przecie królewskim sekretarzem, dalej, niechże usłuży. Bawiąc się przez chwilę tą chęcią zbyt słabą, aby miała oblec się w czyn, zaczął sobie Zygmunt August przypominać te jego rytmy polskie, które czytał kiedyś. Jakże to szło? Czyżby już i pamięć go zawodziła, swobodna i nieomylna w młodszych latach? A przecież podobało mu się to, że polskie i dźwięczne, jakby do pieśni.

Tak! Tak!

„...Będę jednak u brzegu,
Gdzie dalej nie masz biegu,
Lecz odpoczynek i sen nieprzespany..."

Sen nieprzespany! To zapamiętał. Nieprzespany. Gdzież w innej mowie znajdzie się takie słowo? Tak dobre i łaskawe słowo: sen nieprzespany...

Król Zygmunt August chodził po kobiercu bez szmeru, dziwiąc się z pociechą takiemu słowu.

* * *

Wieś wabiła wiosną swoich zbiegów. Jednych jadłem, innych robotą polną, co upały krwi najlepiej uśmierza, innych wreszcie nie wiedzieć czym — całym pewnie rozkosznym, ziemiańskim bytowaniem.

Było z południa, gdy Kochanowski zajechał.

Uf! — zrzucił osypaną kurzem zwierzchnią ochopnię i wydobywał się z kolaski powoli. A konje zgonione dzwoniły wędzidłami przed gankiem i ostro biły się ogonami po zapienionych bokach.

Podniosło się bzykanie chmary much, a poeta pomyślał, że to prawdziwie muzyka domowa. Sień wionęła chłodem i chlebnym zapachem. Stary sługa miał twarz pomarszczoną a czerstwą, jak jabłko zimowe; wąsy mu się ruszały, gdy rozdziewał pana, tak jakby chciał mu rzec i nie śmiał: A przecież do nas znów.

Na piechotę z kijaszkiem ruszył gospodarz w pole. Pszenica za podwórzem. Ba! Toż bezmała nad głowę pójdzie. I kwitnie bez dżdżu. Aż buchało zewsząd pszenicznym kwiatem. Będzie ładny pieniądz za szkuty pełne w Gdańsku.

Ale nade wszystko radował się pan Kochanowski, że tu jest wszystko to samo, jeno podrosło, właśnie jakby on przez ten czas nie stracił tyle spokojności w tym podłym Krakowie: i zdrowie nadwerężył i głupio zgrzył się przez tę „Netę nietykaną"... I tyle pory wiosennej mu uciekło.

Stadnina popychając się leci w tumanie kurzu na koszarę — zatrzymali nieco z południa, że to chciał obejrzeć. Będzie pogoda, mogą i na noc nie spędzać. Słońce chyliło się ku zachodowi czyste, jakby się tam złoto szczere roztapiało zwolna. Abożto prawda, co powiedział filozof, że życie umyka się jako struga, co jej ani zgonisz, nie wiesz dziś, gdzie poszło wczoraj. W ziemi radomskiej ono jest na kształt jeziora, gdzie wpadają i gubią się niespokojne strumyczki. Życie szlacheckie, ziemiańskie. Nic się tu nie dzieje bezpowrotnie, nic nie bywa stracone, ani ci kamieniem młyńskim co bądź zaciąży...

— Ej tam, Walek! Goń!... Gdzie masz oczy! Świerzopka gniada na los poszła, niezguło!

Zgniewał się, ale to były tylko ostatki krakowskiej czarnej żółci. Bo tutaj, w Czarnolesie, nierozumna złość?...

Gdzie to mury miejskie pozostały! — Cuchnące błoto, co je rok okrągły kolasy kółmi rozrabiają. Krzyk kompanii natrętnej od świtu do wieczora i od nocy do zorzy. Aura zmienna: dzisiajś promocji pewien, jutro cię błaznem okrzyknęli, jak to na dworze.

A tutaj wieczorem zjedzie jeden i drugi skromny sąsiad w stolicy nie bywały. Opowie, jak to świnie bołhańskie utargował, albo jak psy gończe na dzika układa. A pochwali stawki rybne czarnoleskie, że w nich gęsto rybki chodzą.

Lecz pierwszy gość, jaki się zjawił, to był dawny padewski kolega, Porębski Mikołaj.

— Panie Janie łaskawy! A toż ja tu do was, panie bracie, ile razy zjedziesz ze dworu, jakoby znów do Italii... Dowiedzieć się, jako w świecie żyją, jako piszą...

Kochanowski niezbyt kordialnie uścisnął przybysza.

— Ba, co w wielkim świecie? — Całą przedostatnią noc, niezbyt trzeźwy, śpiewał z Hiszpanem „Ars amendi" a potem stary od siebie dodawał wierszyki o następstwach tej artis amandi, aż się w gębie robiło gorzko.

— Panie bracie, to wy mi powiedzcie lepiej, co słychać? Oszczeniła się ta wasza legawa, com się jej na Gody nie mógł nazachwycać? A tu kobyłkę widzę nową pod siodłem macie, węgierska czy co?

— Węgierska!... Okrutny pieniądz mnie kosztowała, ale chmiel w tym roku dobrze się sprzeda. Jedno, że go mam niewiele... Tfu! Do kata! Ot znowu chmiel! Ej, zaległ pola człek w nauce, w statuciech...

Klasnął gospodarz. Wino podano pod lipą wielką i gałęzistą.

— Alem „Satyra" waszego czytał! Przednio niektóre wady, zwłaszcza ona ospałość ziemiańska tknięta tam sub figura... Zali prawda, że to na króla samego rozkazanie? I że na onym sejmie warszawskim król jegomość raz nareszcie z bracią szlachtą społem szedł?

Kochanowski milczał chwilę i podniósł oczy na pozłocistą w słońcu koronę drzewa, jakby chciał rzec: Zaiste, bracie, wiem o tym niewiele.

I w tym gościa, niedawnego padewczyka, przeniknęła myśl niespodziana, myśl z Italii rodem:

Ej, możeś ty sam, poeto, taki prawdziwy faun latyński, co nimfy gonił i strumieniowi na fujarce się przeciwił, jeszcze kiedy tu nie było szlacheckiego imienia, ani węgłów pod Rzeczpospolitą?... Faun w Radomszczyznę zabłąkany, któren udaje tylko, że pospólne sprawy i troski dzieli, a pójdź z nim w czarnoleski bór, zamknij oczy — nuż w swoją dawną postać obróci się?

Późnym wieczorem, pożegnawszy w ganku rozmarzonych miodem szlachtę - sąsiadów, Kochanowski, trzeźwy zupełnie, wszedł między swoje księgi. Stał przed policą ładowną tomami — a rzadkie tutaj miał skarby — i w dzwoniącej ciszy, kiedy już i świerszcze posnęły, czułym uchem nadsłuchiwał, który doń pierwszy przemówi, jaki zwrot łaciński, jaka cząstka mowy, która sama jest harmonią, logiką, historią, poprosi, by ją w polskie ubrać dźwięki.

...„Beatus ille qui procul negotiis..."

On znów: Horacy. Horacy to jego własność. To wieszcz tego wieku, tego kraju. To wieszcz czarnoleski.

Zamyślił się. Szukał słów polskich właściwszych, celniejszych niż te, co się pierwsze nasuwają. Neg - otium. O, mądry Rzymianie! Dla nich „otium" to było praw dziwe życie; a pracując, mozoląc się, pamiętali dobrze, że to tylko neg - otium, nie wczas, chwila uciążliwa... Odsunął księgę.

Wyjść pod gwiazdy. Tchnieniem nocy się zaciągnąć... Dosyć, nawet tych ulubionych słów kryjących tajemnice. Nawet Horacy niech uśnie, „serc polskich osłoda".

Hieronim Pawlicki

GOETHE I HITLERYZM

W swej relacji o wykładzie prof. Halbana pt. „Historyczne podstawy Narodowego Socjalizmu" („Odra" nr. 8) Jerzy Koller „uznaje w całej rozciągłości konkluzję" sformułowaną przez prof. Halbana odnośnie wpływów twórczości Goethego na historyczne kształtowanie się „mistycznych podstaw" hitleryzmu (narodowego socjalizmu niemieckiego).

Prof. Halban, nie doszukawszy się w twórczości Goethego żadnych elementów „mistycznych" niemieckiego narodowego socjalizmu, trochę pod sugestią urzędowego przemilczania Goethego i Kanta przez propagandę Goebbelsa, pisze o Goethe'm tak:

„Olimpijczyk weimarski (Goethe) i inne czołowe postacie" nie są „reprezentantami **powszechnej** kultury niemieckiej"? (Podkreślenie moje) „Oni reprezentują tylko aspiracje duchowe **znikomej mniejszości** (podkreślenie Kollera i moje), a obok drobnego Weimaru, który usiłuje obdarzyć Niemców wielką, uniwersalistyczną treścią duchową, wznoszą i potężnieją groźnie Poczdam i Berlin, symbole zgoła innych ideałów."

Czyżby naprawdę tak było?

Konkluzja prof. Halbana i pogląd Kollera na tę sprawę mają swoją Piętę Achillesową. Jakto, Goethe „nie jest czołową postacią, nie jest reprezentantem **powszechnej** klutury niemieckiej"? (Podkreślenie moje.) A kto nim był na przestrzeni drugiej połowy XVIII i XIX wieku, jeśli nie był nim Goethe! Kogo drugiego wśród wielkich Niemców kultura niemiecka nazywała „Olimpijczykiem"? I to nietylko w znaczeniu wielkiej artystycznej syntezy, lecz przede wszystkim w znaczeniu kultury niemieckiej.

Stylizacja konkluzji prof. Halbana zdradza pewne wahania. Rzutuje hipotezy nieprawdopodobne. W humaniźmie niemieckim Goethe jest najwyższym reprezentantem **powszechnej** kultury niemieckiej. Żaden historyk tego humanizmu nie pominie Goethego, przeciwnie postawi go na szczycie osiągnięć kultury niemieckiej tego okresu. **„Tylko aspiracje duchowe znikomej mniejszości, a obok drobnego Weimaru"** — te określenia są konkluzjami dowolnymi. Ta „znikoma mniejszość" była wielkością europejską. „Drobny Weimar" promieniował duchem twórczym na Europę. Albo było inaczej? Fryderyk Wielki pisał źle po niemiecku, ale ten chytry uczeń Machiawella doskonale orientował się na wielkich obszarach kultury niemieckiej „drobnego Weimaru". Gdy zajdzie potrzeba skorzysta z politycznych „mistycznych" usług Olimpijczyka-Goethego. Nie, konkluzja prof. Halbana ma swoje blaski i cienie.

W blasku wielkiego dzieła Goethego kształtowały się duch i forma ambicyj kulturalnych narodu niemieckiego. Tylko Niemcy wiedzieli i wiedzą, czego szukali i szukają w „Ur-Fauście". Musiało to mieć głębszą przyczynę, że w czasie ostatniej wojny „Ur-Faust" ukazał się w wydaniu graficznie niezwykle estetycznym; ale co ważniejsze, **„Ur-Faust" był obok „Mitu XX wieku" Rosenberga najbliższą duszy niemieckiej książką — ewangelią hitleryzmu** (nacjonalizmu).

Zgadza się to z podstawami ówczesnego humanizmu niemieckiego, że i Goethe hołdował zasadzie, że „być człowiekiem i wraz z tem wznieść istnienie na wyżyne wolności staje się wysokim ideałem, najwyższym z ideałów" (R. Eucken). Nie sprzeniewierzał się Goethe zupełnie ideałom kulturalnym tego humanizmu, gdy pisał, że „jednostka nie powinna się mieszać w spory królów" (hitleryzm powiedziałby: w spory Führera z ludzkością); lecz nie zapominajmy i o tym, że Goethe był nietylko wielkim poetą — **był on politykiem i ministrem wojny.**

Można odpowiedzieć: Tak, Goethe był ministrem, ale był ministrem małego księstwa niemieckiego, którego udzielnym panem był mały książę August Wilhelm. Owszem, ale nie mniej prawdą jest, że Goethe był osobistością polityczną par excellence. Może dlatego jest działalność polityczna (gabinetowa) ministra Goethego pokryta pyłem archiwów weimarskich.

Stąd pytanie: czy rozum polityczny Goethego tam sięgał, gdzie wzrok poety zazwyczaj nie sięga — w rzeczywistość polityczną. I to w rzeczywistość posępną — do „Poczdamu i Berlina, symbolów zgoła innych ideałów", aniżeli były ideały Goethego-poety.

Goethe i hitleryzm! Rzecz, zdawałoby się niewiarogodna. A jednak. Owszem, Goethe odrzucał „sformułowane i krępujące wyznania", ale Goethe, a nikt inny, **jest twórcą kultu nadczłowieka** (Faust). **W literaturze niemieckiej on pierwszy użył tego słowa — symbolu, tego słowa — mitu,** które później Nietzsche (a nie Nitsche) zamienił w kamień węgielny swe go subjektywizmu, swej krytyki kultury i chrześcijaństwa, swego pruskiego kultu dla nadczłowieka. I prometeizm Goethego — to poetycka alegoria nadczłowieka, to poprzez romantyzm narodziny hitleryzmu z tragedii niemieckiego nadczłowieka. **Kto tak genialnie, jak Goethe, obdarzał słowo — treścią, ten wiedział, dla jakich przyczyn w historycznej perspektywie poświęcał człowieka nadczłowiekowi.**

Tak, mimo konkluzji prof. Halbana, wzrok Goethego-poety sięgał w rzeczywistość polityczną i to antypolską, wrogą narodowi polskiemu. Daleko przed późniejszym hakatyzmem, nikt inny, tylko Goethe obdarzył „Poczdam" swoim memoriałem politycznym o germanizowaniu Polaków, memoriałem skierowanym w ducha i kulturę polską na Ziemiach Zachodnich. Olimpijczyk weimarski okazał się w tym memoriale wrażliwym, bardzo wrażliwym nadczłowiekiem na interesy antypolskiej polityki — Fryderyka Wielkiego, tego, który dokonał rozbiorów Polski.

W tym to memoriale m. in. zalecał Goethe „Poczdamowi" **najskuteczniejsze metody germanizowania ludności polskiej Pomorza, Poznańskiego i Śląska** za pomocą teatru, wystawianiem tłumaczonych na język polski dzieł dramatycznych literatury niemieckiej. Tylko nadczłowiek mógł Goethego zamienić we wroga narodu polskiego. „Uniwersalistyczna treść duchowa" „drobnego Weimaru" miała sięgać z Weimaru poprzez Poczdam na Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk. **Bo z ducha była niemiecka, a dopiero potem — „uniwersalistyczna".**

Tak więc linia rozwoju „mistycznych podstaw Narodowego Socjalizmu" (hitleryzmu) jest od Goethego poprzez Hegla i Nitzschego do Rosenberga i Hitlera — historycznie uchwytna.

O ogólno-śląskiej wystawie sztuk plastycznych w Bielsku

Ogólno-śląska wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i tkanin artystycznych otwarta dn. 14 kwietnia, w Bielsku, w Zamku Sułkowskich, jest pierwszym większym pokazem sztuki na Śląsku. Bierze w niej udział 100 artystów reprezentujących: Bytom, Bielsko, Cieszyn, Gliwice, Katowice,



Stefan Mrożewski: Drzeworyt z „Boskiej Komedii".

Koźle, Nysę, Sosnowiec i Zabrze. Ogółem wystawiono 232 prace, z czego: 163 obrazy, 21 rysunków, 26 grafik 13 rzeźb, 7 tkanin i 1 sgrafitto. Poziom wystawy jest dość nierówny; obok prac nacechowanych dużym zrozumieniem struktury obrazu, stawiających sobie problem koloru i ormy za naczelne założenie, mamy obrazy słabsze, oparte na banalnych wzorach „naturalistycznych" świadczące o braku zrozumienia istotnych zagadnień współczesnej plastyki.

Przy ocenie wystawy należy wziąć jednak pod uwagę fakt, który zaciążył na całym życiu artystycznym — 6 lat wojny, podczas których artysta pozbawiony warunków do pracy — skazany był na borykanie się z trudnościami życia okupacyjnego, ze zrozumiałą szkodą dla swej twórczości. To zahamowanie rozwoju życia kulturalnego, dalej znaczne „przetrzebienie" szeregów plastyków przez Niemców, a w końcu duże straty prac poniesione przez poszczególnych artystów, skutkiem działań wojennych, składają się na taki, a nie inny stan jakościowy obecnej Wystawy.

Wystawione obrazy to przeważnie pejzaż i martwa natura, słabo natomiast reprezentowany jest portret. Największe osiągnięcia uzyskali postimpresjoniści, na czoło których wysuwają się: B. Stawiński, M. Dawska, M. Piwowarska, J. Bulak. Mimo odrębnych cech indywidualnych, łączy ich wspólna ideologia malarska — oparcie o założenia czysto kolorystyczne i formalne — ideologia wypływająca z dobrych tradycji sztuki francuskiej. Stawiński wystawił kilka obrazów o przyjemnej złotej gamie, opartych na dużej wiedzy plastycznej. Do najlepszych należy zaliczyć pejzaż z Krzemieńca, malowany zatartą plamą z dużą wrażliwością kolorystyczną. Stawiński, to artysta dojrzały, prace jego cieszą bogactwem szlachetnych zestawień plam barwnych, które pomimo różnorodności traktowania, łączą się w jednolitą całość. M. Dawska ciekawie różnicuje fakturę, co w połączeniu ze śmiałymi zestawieniami kolorystycznymi, daje ciekawą strukturę obrazu. W górnych partiach „Pejzażu z mostem" bardzo przyjemnie grają czerwienie z ugrami, natomiast mało wyszukane, niebieskie plamy okien są zbyt surowe i niezwiązane z czerwienią domu. Pierwszoplanowy most, zbyt kolorowy, „watowaty", nie posiada zupełnie ciężaru koloru. Ta właśnie niekonsekwencja w przeprowadzeniu pierwszych planów charakteryzuje i pozostałe prace artystki, znajdujące się na wystawie. M. Piwowarska wykazuje duże zrozumienie faktury obrazu, drobne plamki zestawia w sposób dekoracyjny. W „Portrecie męża" łączy przyjemne czerwienie z zieleniami, natomiast ww górnych partiach obrazu dostrzegamy pewne zmętnienia przez zbyt monotonnie wprowadzoną żółtą fabrę. Bulak pokazał kilka ciekawych prac gwaszowych. W „Pejzażu miejskim" widać duże zmagania ze strukturą obrazu, artysta używa delikatnych i subtelnych zestawień graniczących niekiedy z przebieleniem. Jego olejne obrazy są dużo słabsze, nie utrzymane w tonie.

Obrazy Michejdy świadczą o dużej kulturze plastycznej. W „Martwej naturze ze skrzypcami" daje ładne połączenie kolorystyczne, lecz w dolnych częściach są pewne mętności, a w cieniach nawet brud. Draperia za sztywno ułożona. Artysta za bardzo rozbija płaszczyznę obrazu na drobne elementy, co wywołuje pewien niepokój, ale widać u niego dużą wrażliwość malarską i dobre zadatki na przyszłość. Ciężka gama charakteryzuje wszystkie prace olejne. M. Wyrożemskiego, pewne wartości znajdujemy w jego szkicach ołówkowych — „Głowa żony" subtelna w rysunku i pełna wyrazu. Kopczyński swoim „Wnętrzem" (tempera) nawiązuje do Bonnard'a. Na uwagę zasługuje śmiałe wprowadzenie czerni. W. Ciechanowicz pokazuje kilka akwarel świadczących o poważnym podejściu do zagadnień plastyki. Pozytywne wartości znajdujemy w pracach Garyckiej, Zitzmana, Boczarowskiej, Fiszerowej, Łonickiego, Wyrożemskiej, Freyerowej, Kowalczewskiej, Szyllera i Woźniakowskiego.

Znacznie skromniej, ilościowo, od malarstwa jest reprezentowany rysunek. Na czoło wysuwają się nazwiska A. Raka



Stanisław Marcinow: Głowa.

i Dawskiego. Rak rysuje z wirtuozostwem, opierając się na formalnych zdobyczach sztuki francuskiej. Nie obrysowuje formy, lecz stawia kreskę pozą formą, przy czym kreskę kładzie miękko. Jego doskonałe „Typy" są pełne ekspresji i wyczucia tematu, wskazują na duży temperament artystyczny i wyczuloną wrażliwość na światło. Tematem prac Dawskiego są ruiny Warszawy; rysunki robione zatartą kreską świadczą o dużej wrażliwości malarskiej. Artysta kładzie silny akcent kreskowy na pierwsze plany, podczas gdy



Aleksander Rak: Szabrownik.

dalsze zostawia mgliste, wtarte w papier.

Rzeźbiarze pokazują nam stosunkowo mało prac. S. Marcinów w swych 2 głowach modelowanych z dużą kulturą rzeźbiarską daje syntezę swych osiągnięć plastycznych. Wyszukana forma jego syntetycznego ujęcia dochodzi do szlachetnego realizmu. Ciekawa „Głowa dziewczyny" A. Mehla świadczy o zrozumieniu formalnych zdobyczy rzeźbiarskich i zapowiada ciekawą linię jego dalszej twórczości. Poza tym wystawiają: B. Langman, E. Piwowarski, A. Cięciała, H. Nitra, Rakowski, W. Chorembalski i Sadowski.

Z grafiki S. Mrożewski wystawił dwa drzeworyty „Z Boskiej Komedii" wysokiej i szlachetnej techniki. J. Chwierut wykazuje dużo większe i ciekawsze osiągnięcia w grafice niż w malarstwie. Przejemne grafiki J. Mroszczaka to przeważnie ilustracje do bajek. Tkaniny I. Obrembiny pozwalają wnioskować o wyczuciu rzemiosła i kulturze malarskiej.

Kończąc te rozważania należy stwierdzić, że wystawa jest dużym osiągnięciem plastyki na Śląsku. Samo przez się nasuwa się pytanie, dlaczego reprezentacyjną wystawę zorganizowano w Bielsku, a nie w Katowicach, stolicy Śląska. Otóż tutejszy Związek Zaw. Pol. Art. Plastyków mimo usilnych starań nie uzyskał lokalu na miejscu. I w tym właśnie punkcie stykamy się z zasadniczą bolączką życia artystycznego na Śląsku w ogóle, a w Katowicach specjalnie — z brakiem zrozumienia u czynników oficjalnych, z której to strony należało by spodziewać się właśnie pomocy i ułatwień; tymczasem władze bardzo mało albo wcale nie interesują się potrzebami śląskich plastyków. I jak tu mówić o popularyzowaniu sztuki, o żywym kontakcie ze społeczeństwem, który nawiązuje się za pomocą wystaw, skoro tych wystaw nie ma gdzie urządzać.

Sprawy sztuki nie mogą być pomijane i zaniedbywane — Katowice jako stolica Śląska specjalnie teraz, powinny stać się ośrodkiem kulturalnym i oparciem dla naszych przyłączonych Ziem Zachodnich.

Fot. Dańda, Katowice.

Urszula Kadlec

Kronika kulturalna Ziem Odzyskanych

SZCZECIN. Szczecińska Dyrekcja Obudowy odremontowała piękny gmach przy ul. Swarożyca, przeznaczony na stały wojewódzki teatr Ziemi Pomorskiej. Wykonuje się już prace, związane z powiększeniem sceny oraz urządzeń, umożliwiających przedstawienia. Dyrektor Bronisław Skąpski ukończył angażowanie artystów. Otwarcie sezonu naznaczono na dzień 28 maja. Dana będzie krotochwila Aleksandra Fredry: „Damy i huzary" w inscenizacji Bron. Skąpskiego, w reżyserii b. dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie — Emila Chaberskiego. Na szereg gościnnych występów pozyskano znakomitego artystę Antoniego Fertnera, który grać będzie w „Damach i huzarach" jako Napoleon, rolę zaś majora odtworzy Wł. Bracki, były dyrektor Teatru toruńskiego. Oprawę sceniczną przygotuje Stanisław Jarocki. Drugą premierą będzie świetna komedia Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej, w reżyserii Emila Chaberskiego z Ant. Fertnerem w roli Dulskiego. Reżyserami teatru będą: dyr. Br. Skąpski, Filip Kuligowski — długoletni artysta i reżyser teatru lwowskiego oraz Bol. Mierzejewski. Jako goście reżyserować będą poza wymienionym już Em. Chaberskim, dyr. Teofil Trzciński i Józef Karbowski.

Jak z tego wynika, Wojewódzki Teatr Polski w Szczecinie pozyskał wybitnych artystów i niewątpliwie zajmie jedno z czołowych miejsc w ogólnopolskim życiu teatralnym. (ts)

SZCZECIN. W bibliotece muzealnej Szczecina ukończono już porządkowanie działów sztuki i prehistorii oraz zwieziono reprodukcję rzeźb greckich. (ts)

ŚWINOUJŚCIE. Natrafiono na ślady muzeum t. zw. „Heimatsmuseum" w Swinoujściu, którego gmach został zrujnowany doszczętnie w czasie bombardowania. Z nastaniem wiosny Referat Kultury i Sztuki przystąpi do szczegółowych poszukiwań i odgrzebywania ruin. (ts)

SZCZECIN. Dnia 25 marca br. odbyło się Walne Zebranie członków Klubu Literacko-Artystycznego, na którym zatwierdzono statut Klubu oraz wybrano Zarząd w następującym składzie: St. Czapelski — prezes, Moszyński — wiceprezes, dr. St. Telega — sekretarz, Goszczyński — skarbnik, Zdz. Karczewski — członek Zarządu.

Pierwsze posiedzenie Zarządu odbyło się 27 marca br., na którym uchwalono nawiązać kontakt z Zawodowym Związkiem Literatów Polskich i w najbliższym czasie urządzić inauguracyjne zebranie Klubu, z udziałem któregoś z wybitniejszych literatów. (ts)

WAŁCZ. W kaplicy zabytkowego gimnazjum znajduje się postać św. Stanisława Kostki z polskimi napisami. (ts)

RADUN I BIELINKI. W miejscowości Radun znajduje się archiwum i biblioteka „Maerkische Provinzial-Muzeum in Berlin". W Bielinkach znajduje się zbiór biblioteki biologicznej w kilku językach (niemieckim, francuskim, łacińskim, japońskim. Dzieła te, złożone w wielkim nieładzie w starym, zdewastowanym zamku, nie są dotąd zabezpieczone. (ts)

BIAŁOGRÓD. Z sześciu bram, które znajdowały się w Białogrodzie w swoim czasie, zachowała się tylko jedna „Brama stepowa", pochodząca najprawdopodobniej z pierwszej połowy XIII w. Za najokazalszą i najpiękniejszą świątynię uchodzi kościół N. M. P. 6 tego rodzaju pobudowano na terytorium Pomorza Zachodniego w różnych miejscowościach. Kościół N. M. P. w Białogrodzie, zbudowany przypuszczalnie współcześnie z „Bramą stepową" w stylu wiślanego gotyku, przykryty jest rdzawo-złotawym dachem miedzianym. Wielki ołtarz, bardziej nowoczesny w stylu wczesno-barokowym, trochę się kłóci z ogólnym rysunkiem nawy i prezbiterium, nie mniej wnętrze imponuje powagą wieku i budzi wiele wspomnień historycznych. Jest wiele danych, iż świątynię tę jak i wiele innych budował Kazko ze Słupska, współczesny władyka tej połaci piastowskiej Polski. Jeszcze wcześniejszym, niż świątynia (bazylika) N. M. P. jest kościół Św. Piotra. Wnętrze dość zaniedbane, doprasza się renowacji, tym więcej, iż kościół ten, ściśle mówiąc większych rozmiarów kaplica, powstał na miejscu, gdzie stanął niegdyś na tym miejscu pierwszy ołtarz chrześcijański, przed którym zanosili modły ochrzczeni przez Mieszka tutejsi nasi przodkowie.

Godnym uwagi jest zabytkowy zamek w Połczynie, dawna siedziba ks. Bogusława IV Pomorskiego oraz stare kamienne mogiły słowiańskie w Wielkim Rabinie obw. Białogrodzkim, które czekają jeszcze na prehistoryka, mogącego zbadać ich wnętrze, kryjące najpewniej b. ciekawą przeszłość.

Brak środków lokomocji nie pozwala na bliższe poznanie więcej ciekawszych zabytków w terenie obwodu. Białogród czeka na historyka polskiego, który by dzieje tego miasta ujął w osobnej książce, a treść oparł na sumiennie zbadanych źródłach i dokumentach. Do tej chwili bowiem, gdy mowa o przeszłości, posługiwać się trzeba jedynie broszurami niemieckimi i tymi dokumentami, które Niemcy po swojemu traktowali i komentowali. (ts)

SZCZECIN. W Szczecinie czynne są 2 szkoły muzyczne,. Oddział Związku Zawodowych Muzyków oraz Oddział Związku Plastyków. Zorganizowany przez PPR. „Teatr Mały", czynny już od kilku miesięcy, ma charakter raczej amatorski, a dotychczasowy repertuar budzi zastrzeżenia zarówno co do wyboru sztuk jak i reżyserii. Natomiast wielkie nadzieje rokuje Wojewódzki Teatr Polski,, złożony z zawodowych aktorów i reżyserów. Dyrektorem został Bronisław Skąpski. (ts)

W KOSZALINIE, Gostyniu, Dzegowie, Trzcińsku i Drawsku czynne są amatorskie zespoły teatralne, cieszące się dużą frekwencją. (ts)

SZKOLNY TEATR MARIONETEK W OPOLU, pod art. kier. mgr. Cz. Kurka, wystawił w kilkunastu szkołach miasta i powiatu piękne „Bajeczki" Kownackiej. Zwraca uwagę poprawny poziom tych przedstawień.

TEATR ZIEMI OPOLSKIEJ pracuje, a kulturalny zasięg tej instytucji obejmuje coraz szersze tereny Odzyskanego Zachodu. Po zorganizowaniu przedstawień w Kędzierzynie, Koźlu, Tarnowskich Górach, w Strzelcach i Oleśnie, wystąpiono ostatnio w Niemodlinie i Nysie. Na afiszu: „Pan Damazy", „Damy i huzary" i „Dar poranka". (wh)

„Głuszec" — komedia w 3-ch aktach Stefana Krzywoszewskiego. Dowcipna i zręcznie rozwinięta historyjka „o dziewczynce, która udawała chłopca", na tle specyficznego środowiska, o „szapoklakowych typach" i groteskowym rysunku, nie przedstawiała większych trudności dla inteligentnego reżysera Opolskiego Teatru. Przekonał nas o tym poziom premiery, opracowanej przez W. Ścibora w sposób staranny i nie budzący na ogół zastrzeżeń. Komedia Krzywoszewskiego wchodzi też na scenę, jako jedno z tych przedstawień, które dzięki sprawnej reżyserii, jak i zwartym wysiłkom wszystkich wykonawców, zaliczyć można do dobrych pozycyj tutejszego teatru.

Z wdziękiem i talentem wywiązała się ze swej roli przede wszystkim Danuta Karolewicz, doskonała zarówno w jedwabiach stylowej sukni Stasi, jak i w męskim garniturze „Stasia". Partnerował jej, w roli Tadeusza — nienaganny Ścibor. Typowym Flecikiempoetą był Herba, a z maestrią i finezją aktorską wybrnął z trudnej roli Siarczyńskiego — Eugeniusz Orłowski. Szczerze bawili nas: Posiadłowski, jako patetyczny Pazurkiewicz i R. Radwan, jako doktór. (U Radwana — wciąż błędny akcent w wyrazach: logika, muzyka!). Nie bez zainteresowania obserwowaliśmy również Malwinę, w wykonaniu Stefanii Hudetz, Irenę Carnero jako Amelię, oraz B. Żyborską, w przerysowanym nieco typie Siarczyńskiej. — Ujemną stroną spektaklu — bałagan kostiumowy! „Szapo" — i modny garnitur Korolewiczówny? Nie wolno! — Dekoracje? Dobre w akcie I i III, banalne w akcie II. — Efekty świetlne — zaciemniają sytuację, i nie są szczęśliwe. **(wh)**

Listy z Polskiego Zachodu

W Szczecinie kwitną magnolie

Szczecin, w maju

Jeszcze w połowie marca Szczecin tonął w śniegu. Ulice, wysadzone drzewami obficiej niż w którymkolwiek innym mieście — wille, przed którymi z matematyczną dokładnością stróżują srebrne jodły i sosny, wreszcie długie perspektywy alej przekreślał śnieg, który prządł się w takim ściszeniu w tym grodzie starosłowiańskiego Triglawa, że chwilami doznawało się wrażenia, jakby przed oczyma odmykały się fragmenty zapomnianej baśni. I to nie tylko dlatego, że srebro śniegu migotało jaskrawie na tle zieleni jodeł i sosen, które spotyka się tu często nawet przed sklepami w śródmieściu. Ale że w tej śnieżnej wędrówce po Szczecinie wypromieniała się chwilami z ośnieżonych will i gmachów jakaś dojmująca cisza. Cisza opuszczenia i samotności. Dopiero po chwili napływa refleksja. To winny temu śmiertelne oczodoły okien, które zasnuwa bielmo śniegu i zupełny brak ludzi. Jeszcze w marcu spotykało się całe dzielnice gdzieś za ulicą Martynową, Sienkiewicza czy obok Lasku Arkońskiego, w których nie było żywego ducha. Symetrycznych przepięknie zharmonizowanych ogródkami jodłowymi, will i domków nie plamił nawet cień szabrownika, mimo że po tych willach i opuszczonych gmachach stało i do dziś stoi dużo mebli i rupieciarni domowej. Na tle padającego bez przerwy śniegu doznawało się chwilami wrażenia, że jest się w jakiejś zaklętej krainie śpiącej królewny, gdzie wszystko nagle zamarło, zamilkło, zaklęte niewidzialną siłą. Gdzieś tam w baśni z dzieciństwa uśpiony świat ożywił się nagle, poruszony słowem baśniowego królewicza. Kiedy obudzi to miasto, które jest dla nas baśnią słowiańską sprzed wieków, jakiś królewicz - budowniczy? Który ten Gród Bogusławów, Warcisławów i Kaźków szczecińskich ożywi szkłem okien, zatrze gruzy pięciu straszliwych nalotów amerykańskich, pomnoży liczbą co najmniej 200.000 ludzi? Może tym królewiczem okaże się delegat Rządu dla spraw Wybrzeża, inż. Kwiatkowski, wielki budowniczy Gdyni i C. O. P-u?

NAJBLIŻSZY PORT DLA ŚLĄSKA

Że Szczecin posiada fantastyczne wprost możliwości rozwojowe, przełomowe dla nas znaczenie morskie, o tym, nie ma potrzeby specjalnie nikogo przekonywać. A przecież trudno nie mówić o tym, kiedy się patrzy na przykład ze Starego Dębu na skrzyżowanie autostrady z liniami kolei. Kiedy się patrzy z tego wzgórza, skąd widać miasto, Odrę, jezioro Dąb, bulwary i dźwigi.

Bo proszę sobie uprzytomnić, że Szczecin to w całej środkowej Europie najdalej w głąb sięgający port rzeczno morski. Dzięki Odrze spławnej od ujścia aż do Koźla, posiada olbrzymie zaplecze naturalne, głównie śląskie. Port morski i port rzeczny — to płuca gospodarcze i płuca morskie nie tylko dla Polski, ale i dla Czechosłowacji. Kluczowa pozycja Szczecina jest tak podstawowej wagi, że bez posiadania go wartość odzyskanego Pomorza poszłaby na plan drugi, a Śląsk utraciłby możność pełnej produkcji. Nie jest nawet przesadą, że bez szczecińskich stoczni, których jest tu 5 ze słynnym „Vulcanem" na czele, program budowy naszej floty handlowej byłby trudny do pomyślenia. Wprawdzie przejmujemy również stocznie okrętowe w Gdyni, Gdańsku i Elblągu, ale otrzymujemy tam wszędzie warsztaty zniszczone lub w najlepszym wypadku zdekompletowane wojną.

Dalej Szczecin jest także najbliższym polskim portem w ogóle. Dla Śląska odległość z Wrocławia 351 km., dla Łodzi 438 km., dla Poznania 206 km. Polski Szczecin zaoszczędza więc skarbowi państwa rokrocznie kilkadziesiąt milionów złotych, które szły w Polsce przedwrześniowej na premie eksportowe lub zwolnienia podatkowe, konieczne dla wyrównania złych wówczas, głównie ze względów transportowych, szans konkurencyjnych polskiego eksportu. Dodać też należy, jakie są wspaniałe możliwości Szczecina w handlu z Anglią. Na tym handlu port ten, jeszcze za Fryderyka II, bogacił się. Warto przypomnieć, że gdy Napoleon rozciągnął blokadę kontynentalną, Szczecin podupadł, gdyż cały ówczesny handel zamorski Prus z Anglią szedł właśnie via Szczecin.

Dalej, Szczecin jako najbardziej na zachód wysunięty port morski, powołany jest w pierwszej linii do odegrania przodującej roli również w przyszłej polskiej żegludze dalekomorskiej.

Nasza dawna żegluga atlantycka, regularne rejsy pod polską banderą, jakie szły z Gdyni do Montrealu, New Yorku, Rio de Janeiro, Buenos Aires, zyskują obecnie nowe perspektywy rozwojowe, oparte o dogodniejszą bazę wyjściową.

SZCZECIN WOŁA

W początkach kwietnia zakwitły w Szczecinie krokusy, a wkrótce potem magnolie. Wiosna, która tu nastała, nagle ujawniła nieznaną piękność Szczecina. Poza zniszczonym śródmieściem cały niemal Szczecin mrowi się dosłownie w zieleni. Zakwitły różnobarwne kwiaty i krzewy, których nie spotyka się na ogół w innych miastach. I to właśnie, ta egzotyczna prawie, lub rzadka roślinność i drzewostan Szczecina nadaje miastu szczególne piękno.

Tym, którzy nie znali Szczecina na wiosnę i w lecie, sprawiło to miasto will i zieleni wielką niespodziankę i radość.

Krokusy i magnolie są tu tak powszechne jak np. w okolicach Rzeszowa jaskry i kosaćce. Magnolie znałem z piosenki i rymu do „melancholii". Tymczasem kwiaty magnolii, drzewa wielkości nieraz jabłoni, w niczym nie asocjują melancholii, lecz mają świeżość bzów i lilii wiosennych.

Egzotyczność barw i przepych zieleni na tle nowoczesnych, niemal niezniszczonych will, czyni ze Szczecina jedno z najpiękniejszych miast w Polsce. Nic też dziwnego, że od początku wiosny daje się zauważyć coraz bardziej wzmożony ruch osiedleńczy w Szczecinie. Dzielnice, które jeszcze w zimie straszyły pustką, zaludniają się dziś coraz bardziej. Aleją Wojska Polskiego mkną coraz liczniej samochody, coraz racjonalniej rozwija się handel, wyrównują się ceny, życie normalizuje się.

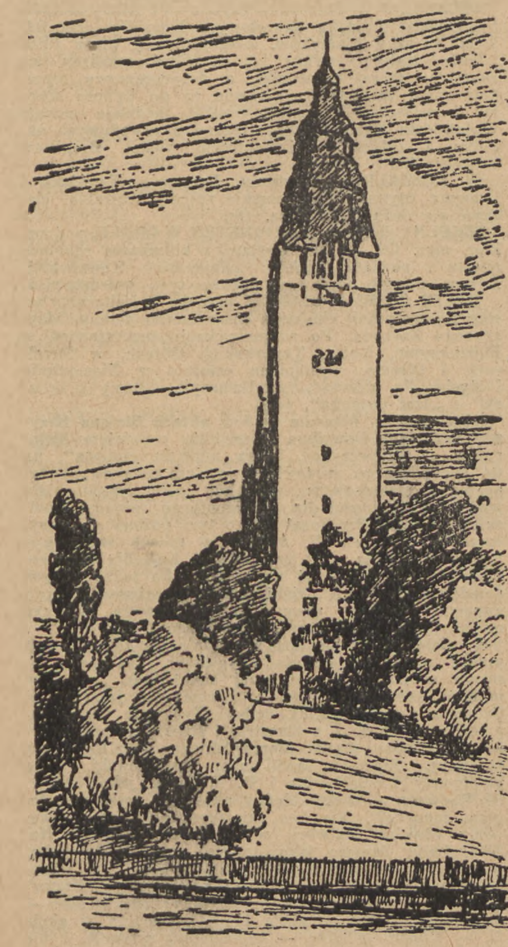
Szczecin nie leży już na „Dzikim Zachodzie", jak to było jeszcze w ubiegłym roku. Ci, którzy przybyli tu z całej Polski w kwietniu tego roku podczas wielkich „Dni Szczecina", aby zamanifestować polskość Ziem Zachodnich, przekonali się o tym naocznie. Nic dziwnego, że „Dni" te były najlepszą propagandą dla Szczecina i skutki ich widać z dnia na dzień. Nie ulega też wątpliwości, że Szczecin stanie się już w niedalekiej przyszłości miejscem wczasów dla ludności duszącej się w ciasnych i przepełnionych miastach Śląska.

Szczecin, jak w ogóle Pomorze Zachodnie, posiada jeszcze jedną atrakcyjność. Jest nią radość pracy. Tu każde pole działalności leży jeszcze odłogiem. Tu wszystko niemal trzeba zaczynać od nowa. Radość budowania, organizowania, radość tworzenia i umiłowania rzeczy stworzonych, daje pełnię zadowolenia nawet wtedy, gdy nie można się dokołatać skromnej pensji czy, gdy trzeba samemu szukać klamek i okien po sąsiednich willach. Czynnik twórczości, wyzwalający zawsze pełnię osobowości, tworzy, z ludzi, osiadłych w Szczecinie określone indywidualności, mocne profile duchowe. Do Szczecina przybywali dotąd ludzie zdecydowani. Słabych ścierało tu życie, pełne powabów, ale i niebezpiecznych wirów albo też wywabiało z nich nieznane im samym siły.

Dziś Szczecin może się chlubić realnym wkładem pracy. Życie ugładziło się, stracito na ostrości, choć wciąż jeszcze wymaga dużo hartu i odwagi. To też Szczecin woła. Szczecin czeka na wszystkich, którym zbrzydła jednostajność miast „wschodnich", którzy mają dość żonglerki mieszkaniowej w Krakowie, Katowicach czy nawet w Zabrzu.

Czeka na ludzi twórczych. Od takich bowiem ludzi zależy polskość Pomorza Zachodniego.

Stanisław Telega



Szczecin, gmach rządowy.

Wrocław, młyn polskości

Wrocław, w maju.

„Nasz Wrocław" — starsze pokolenie nie bardzo oswoiło się z tą nazwą, ale młodzież zżyła się już z nią, zżyła się ze zniszczonym (przeciętnie 60 %), a mimo to pięknym miastem — że wiosnę przeżywa tu — jak na plantach krakowskich, gdzie uczyliśmy się dopiero wtedy, gdy „storczykami rozkwitły kasztany..." Bo zresztą Wrocław, to drugi Kraków, takie muzeum pamiątek i zabytków i takie niezdrowe piękno średniowiecznych murów i prawie tak piękne przedmiejskie dzielnice willowe, jak krakowskie Osiedle Oficerskie.

•

Kiedy po fali przedwiosennych śnieżyczek, przedziwnych krokusów — tonął w nich Wrocław — pojawiły się fiołki, a potem narcyze i tyle, tyle innych kwiatów, kiedy o wschodzie i zachodzie słońca przegląda się słońce w Odrze i użycza najcieplejszej zieleni wierzbom płaczącym przy mostach — kiedy widzi się grzeczne dziewczynki poznańskie, czyściutko ubrane, idące do polskiej szkoły — zapomina się tak łatwo o złej zimie wrocławskiej, o złych nocnych strachach z ruin. W niedzielę lwowscy harcerze płyną pod mostem Grunwaldzkim, a ludzie urzeczeni nie wiedzą, czy na nich patrzeć z brzegów „wiernej rzeki", czy na „zuchów krakowskich", odbywających jakieś nieznane mi bliżej „manewry" w tym samym miejscu, gdzie panoszyli się „Hajoty".

•

...a na Grunwaldzkim Placu, który z wysokości „jedynki" w swoich dobrych chwilach (rzadko, bo w zimne dni przeciąg chce urwać głowę, a niegrzeczni pasażerowie ją zadręczają) — obwieszcza konduktor.

— Rynek szabrowników!

...na łzach i krwi robotników zbudowanym placu dziwna zaiste jest wiosna. Rzekłbyś, że jakieś egzotyczne śnieżnobiałe kwiaty kwitną na krzewach grunwaldzkiego placu. Przychodzisz bliżej i cóż. To handlarze pościelą wysypują pierze z poduszek i pierzyn, żeby było vygodnie wieźć wsypy. Te dziwne kwiaty za lada podmuchem wiatru zmieniają się jak w bajce andersenowskiej o Królowej Śniegu w płatki śniegu, w całe zadymki śnieżne. Taka to już wiosna wrocławska...

Odra wije się aż dwudziestosześciokilometrową wstęgą — że już użyję oklepanej przenośni, bo właściwie to raczej korona niż wstęga ze swoim bogactwem wysepek, półwyspów — przez równie długie, bo 24 km. w kierunku ze wschodu na zachód, a 14 km. z południa na północ ciągnące się miasto. Gdyby ktokolwiek we Wrocławiu miał czas (a takich ludzi nie ma) — jakżeby cudowna mogła być wycieczka po mieście, aby z uczonymi tropić ślady polskości i przyswoić piękno Wrocławia „szaremu człowiekowi".

•

Wiosenną wielką polską manifestacją — trzeba tu już użyć zużytych słów — była premiera „Grubych ryb" z Ludwikiem Solskim. Tu ofiarny trud Solskiego miał zupełnie inny oddźwięk niż w „starej" Polsce. Solski ze swoją wieczną wiosenną młodością udzielił nam ziębniętym i zatroskanym czegoś bardzo miłego i ożywczego. Chciałabym go przedstawić tu jeszcze od strony widza, od strony nieznośnej publiczności wrocławskiej, która gwiżdże i rozmawia, tupie i pożera kiełbasę, zupełnie jakby była na „Grunwaldzie". — Takiego szczerego powiewu entuzjazmu wobec wielkości nie widziałam jednak wśród tłumu już dawno, chyba jeszcze w Krakowie na niezapomnianym poranku recytacyjnym o Warszawie. („Warszawo, chusto Weroniki"). A to przecież tylko „Grube ryby"... tylko komedia mieszczańska z dawnych niefrasobliwych lat, kiedy ludzie nie mieli poważnych zmartwień.

Wsłuchuję się w rozmowy.

— Mamciu, ten Solski to ma 90 lat — oznajmia matce mała Lwowianeczka.

— Ta, dzie! — zaprzecza matka.

— Koleżanka powiedziała!

Ale niestety to było tylko „na Solskim" bo zresztą stosunek widza wrocławskiego do troszeczkę „cięższej" sztuki, niż przeciętna komedia muzyczna, jest niechętny.

— Dlaczego, na miłość Boską, nie dajecie czegoś wartościowszego?

— Bo nikt po prostu nie przyjdzie. A my musimy mieć jakiś dochód przecież, bo subwencje... Widziała pani pustki na „Ślubach panieńskich".

— No tak, ale wśród publiczności są ludzie wykształceni, ludzie wychowani na kulturze przedwojennej!

— My wszyscy jesteśmy zmęczeni wojną i pragniemy wytchnienia, trzeba zrozumieć i szarego człowieka, którego i sama myśl poważniejsza „boli". Pragnie łatwego śmiechu i uśmiechu i lekkiej piosenki. Ale niech się pani nie niepokoi, pomału wychowamy sobie publiczność i niepostrzeżenie przejdziemy na poważniejszy repertuar. Narazie chodziło o to, żeby w ogóle „ściągnąć" publiczność do teatru, która chadzała na zawody bokserskie, rewie i sentymentalne filmy, a bardzo bała się teatru.

Trudna sprawa z widzem wrocławskim. Na pewnym zamkniętym przedstawieniu dla pewnej wielkiej fabryki powiedziano, że „artyści owszem, ale sztuka do niczego"... Chodziło o fredrowskie „Śluby panieńskie"...

Głębokie to zdanie chętnie zastosuję do trzeciej z kolei (po „Ślubach" i „Myszy kościelnej", o której pisał w Odrze p. Eugeniusz Paukszta) premierze naszego teatru wspomnianej już „Mojej siostrze". Trzeba zresztą przyznać sprawiedliwie, że „Moja siostra i ja" lepiej udała się we Wrocławiu, niż w Katowicach. Xenia Grey istotnie ś p i e w a ł a, a nie mówiła jak Tomaszewska. Pomysłowe wprowadzenie baletu z ciekawymi efektami

świetlnymi nadała jakiś zdecydowany wyraz owemu „miłemu głupstwu“. A dekoracje, dekoracje... Słusznie podkreślił piękno dekoracji w scenie „Nocy paryskiej“ (Mysz kościelna) Eugeniusz Paukszta. Talent Kassaraba ma w sobie coś sugestywnego. To przyznają nawet dziwnie niechętni naszemu teatrowi recenzenci miejscowi, których też przydałoby się wychować, jak głośną publiczność. Nie trudno jest złośliwie, a głupio najczęściej krytykować tak zasłużoną placówkę pionierską, jaką jest niewątpliwie teatr Teofila Trzcińskiego, ale trudniej było widocznie mieć odrobinę cywilnej odwagi, bo pisząc o młodej artystce: „ona była okropna“, nie podpisali się imieniem czy nazwiskiem. Panowie ABC. działają zawsze z ukrycia. Nie tylko zresztą we Wrocławiu i nie tylko w sprawach teatru...

Trzeba troszeczkę znać się na teatrze, żeby zrozumieć ogrom trudności, związanych z wystawieniem sztuki w warunkach wrocławskich. Nawet Teatr Akademicki nie wystąpił z klasyczną sztuką na swoją inaugurację. Choć widzieliśmy przed wojną n. p. w Krakowie wspaniale wystawione tragedie antyczne z niezapomnianą Marysią Galówną, przestaliśmy załamywać dłonie nad obniżeniem się poziomu artystycznego młodzieży akademickiej po ujrzeniu satyry „Wpław przez Wrocław“, świetnej miejscami satyry na stosunki wrocławskie. Były oczywiście miejsca bardzo słabe, ale przecież wszystko nie musi się wybaczyć debiutantom. Dostało się szabrownikom, dostało się koleżankom łapiącym na studiach mężów (pożal się Boże), dostało się (jakże słusznie) stołówkom (temat to niewyczerpany jak teściowa przed wojną), dostało się miastu rodzinnemu (pan wygodny, bo pan pewnie jest z Krakowa...). Wśród dowcipów słownych i sytuacyjnych przesunęła się cała historia powstania naszego pionierskiego uniwersytetu — bez frazesu — prawdziwego pionierskiego ośrodka wiedzy.

•

Niełatwe jest życie pioniera nauki we Wrocławiu, ale trzeba przyznać, że raduje się serce, gdy widzi się, słyszy i czyta, co organizują we Wrocławiu ludzie nauki. Najważniejszym wydarzeniem w nowszym młodym ruchu naukowym na Dolnym Śląsku jest założenie „Towarzystwa Naukowego we Wrocławiu“. Celem Towarzystwa jest popieranie rozwoju nauki polskiej i ruchu naukowego we wszystkich gałęziach wiedzy. Wspiera ono prace naukowe, a raczej ma wspierać — przez ddzielanie zasiłków i przyznawanie nagród, organizowanie zespołowej pracy naukowej, urządzanie warsztatów pracy naukowej (bibliotek, czytelń, archiwów, muzeów, pracowni badawczych). Urządza posiedzenia naukowe, ogłasza drukiem prace i utrzymuje kontakt z innymi towarzystwami naukowymi w kraju i za granicą. Prezesem Towarzystwa jest rektor Uniwersytetu i Politechniki — Stanisław Kulczyński. Towarzystwo dzieli się na wydziały (filologii pod przewodnictwem prof. Kowalskiego, nauk historyczno-społecznych — prof. Maleczyńskiego, matematyczno-przyrodniczych — prof. Sembrata, nauk lekarskich — prof. Hirszfelda i nauk technicznych — prorektora Suchardy). Nasze Towarzystwo Wrocławskie wyróżnia się korzystnie od „starszych swoich kolegów“ pewną postępowością. Zwykle mianowicie w tego rodzaju towarzystwach występuje dwustopniowość, istnieją członkowie-korespondenci i członkowie właściwi. (Akademia Umiejętności). Ta dwustopniowość została przełamana po długiej dyskusji. Przełamano też ograniczenie ilości miejsc, zaporę demokratyzacji nauki polskiej.

Nasi wrocławscy uczeni pomagają też w najpiękniejszej — moim zdaniem — akcji oświatowo-wydawniczej, t. j. w cyklu wykładów o Dolnym Śląsku — akcji zorganizowanej przez Książnicę-Atlas w porozumieniu z Kuratorium Szkolnym. Cykl pierwszy wykładów ma się odbywać we Wrocławiu, cykl drugi — w Szklarskiej Porębie. Poza wykładami treści ogólnej i przyrodniczej odbędą się wykłady, interesujące humanistę, z dziejów i pradziejów Śląska, o kulturze ludowej śląskiej, o starszej i współczesnej literaturze śląskiej i wreszcie o szkolnictwie. Specjalnie szeroko jest potraktowana sprawa związku Śląska z resztą ziem polskich.

Zagadnieniom śląskim poświęciło również cykl wykładów Tow. Uniw. Rob. pod nazwą „Teraźniejszość i przeszłość Dolnego Śląska“, ze wstępnym wykładem prezydenta miasta, inż. Aleksandra Wachniewskiego p. t. „Wrocław wczoraj, dziś i jutro“.

I Uniwersytet Powszechny, zorganizowany przez Kuratorium Wrocławskie, nie zapomina o Śląsku przy zagadnieniach życia współczesnego. Uniwersytet ten prowadzi prof. geografii dr. Moniak. Ponieważ uniwersytet ten mieści się w zakładach Sieci Elektrycznej, przeto główny nacisk położono na nauki fizyczne, ale nie zaniedbuje się oczywiście i nauk humanistycznych. Pożyteczna ta placówka oświatowa przyczyni się niewątpliwie do upowszechnienia polskiej kultury wśród szerokich mas. — Wydziałowi Oświaty Dorosłych, który patronuje uniwersytetom powszechnym (we Wrocławiu i Wałbrzychu) oraz ludowym (narazie jest jeden o pięknej nazwie: „Słoneczna Szkoła“ w Karpnikach, pow. jeleniogórski, ale na przyszły rok szkolny mają być w każdym powiecie) — należy się kilka słów ciepłych uznania, gdyż oświata dorosłych zrobi więcej na Dolnym Śląsku dla polskości i podniesienia szerokich mas, niż najszumniejsze sloganowe odezwy. Na pierwszy plan wysunięto walkę z analfabetyzmem. Pracują już w przeszło 43 miejscowościach kursy początkowe. Będą one organizowane nawet tam, gdzie analfabetów jest zaledwie kilku. Żadna jednostka nie może być wyłączona z czynnego życia społecznego, co szczególnego znaczenia nabiera tu na Zachodzie.

Prócz analfabetów mamy wśród osiedleńców na Dolnym Śląsku wielu, którzy nie ukończyli szkoły powszechnej, albo ukończyli ją za czasów okupacji. To zadanie rozwiązują kursy dokształcające. Gdy w miesiącu styczniu było ich 148, to w lutym już 315, a musi ich powstać w najbliższym czasie około 300, by podołać zadaniu.

Gimnazja i licea dla dorosłych, pracujące w 10 miejscowościach w 23 szkołach wypełniają podobne zadania na poziomie średnim. Otwierają one drogę do wyższych uczelni wszystkim, przed którymi ta droga była dotychczas zamknięta. Należy sądzić, że w najbliższym czasie ilość gimnazjów i liceów się zwiększy (dane z końca ub. r.). Młodzież zaś mieszkająca w miejscowościach, gdzie nie będzie wystarczających warunków dla powstania gimnazjum dla dorosłych, będzie miała możność kształcić się w gimnazjach, które będą posiadały bursy.

Uzupełnieniem tych stałych form kształcenia dorosłych na wszystkich poziomach staje się odpowiednio pomyślane czytelnictwo dla dorosłych.

Chodzi tu o czytelnictwo mające na celu przyswojenie skarbów kultury narodowej i pogłębienie intelektualnego rozwoju jednostki. Winno ono stać się bodźcem do dalszego kształcenia lub samokształcenia. Niestety, sprawa bibliotek znajduje się jeszcze w stadium początkowym. Brak książki polskiej na Dolnym Śląsku jest problemem natury bardzo ważnej — jest wśród potrzeb oświatowych sprawą niesłychanie pilną.

Gdy z końcem roku ubiegłego zespoły teatralne i chóralne były dopiero w zaczątkach, to już statystyki za miesiąc styczeń 1946 r. dają nam wcale pokaźną liczbę 355 świetlic (około 4.000 członków), oraz 57 zespołów teatralnych, chóralnych i muzycznych (statystyka za luty 46).

Cechą charakterystyczną szkolnictwa dolnośląskiego w ogóle jest nie stan aktualny, bo tu cyfry nie są imponujące, lecz rozwój i jego tempo. Gdy zważymy, że rok temu nie było tu przecież ani jednej polskiej szkoły, to liczba 150 przedszkoli, 1000 szkół powszechnych, 30 szkół średnich ogólnokształcących, 10 szkół zawodowych — nie wyda nam się zbyt mała. Statystyki zaczęto przeprowadzać dopiero od 1. października 1943 r. Na Dolnym Śląsku przybywa co miesiąc 100 nowych szkół powszechnych i co miesiąc znajduje w nich miejsce 10.000 nowych uczniów. Ale, niestety, jeszcze nie wszystkie dzieci mogą pobierać naukę, ponieważ jest za mało szkół i nauczycieli (ok. 80.000 dzieci uczy się w szkołach). 15. 1. 46 26 % dzieci nie korzystało z nauki. Chcąc to zmienić, trzeba by zorganizować kilkaset szkół, a don ich około 1.000 nauczycieli. Jeżeli przypływ repatriantów wzrośnie, sprawa może przybrać obrót groźny, bo z okręgów środkowej Polski nie można się spodziewać nowych sił nauczycielskich. Aby temu brakowi zapobiec, kuratorium usiłuje wyszkolić kadry nauczycielskie na własnym terenie.

Na szkoły zawodowe kładzie się na Dolnym Śląsku duży nacisk ze względu na wielkie zapotrzebowanie fachowców (nie można z tego względu właśnie wysiedlić Niemców). We Wrocławiu znajduje się gimnazjum i liceum techniczne, spółdzielcze, mechaniczne (przy Fabryce Wagonów), szkoła gospodarstwa domowego i jednoroczne kursy przysposobienia budowlanego. W Jeleniej Górze gimnazjum technologiczne, w Cieplicach — szkoła rzeźbiarsko-snycerska, w Oławie — rolnicza. Szkoły zawodowe są w stadium organizacji.

Piękne widoki ma na terenie Dolnego Śląska wychowanie fizyczne. We Wrocławiu znajduje się ośrodek sportów wodnych (wspaniała aula na 400 osób, pokoje świetlicowe, klubowe i 40 łodzi). Ośrodek w Szklarskiej Porębie koło Jeleniej Góry jest jeszcze piękniejszy; znajduje się tam skocznia narciarska, basen pływacki, boiska sportowe, toteż mogą się tam odbywać kursy metodyczne dla instruktorów i nauczycieli wychowania fizycznego. W Sławie (pow. głogowski) nad długim jeziorem (11 km.) ma być zorganizowana śródlądowa szkoła morska.

•

Trzeba jeszcze wspomnieć o akcji wydawniczej naszego Kuratorium. Wydaje ono „Biblioteczkę dla młodzieży szkół powszechnych“, gdzie wydano dotychczas „Janka Muzykanta“ i „Antka“ (Drukarnia Uniwersytecka).

Z ogromu trudu i poświęcenia, jakie władze Kuratorium i nauczycielstwo śląskie w ogóle, a dolnośląskie w szczególności, włożyły w swoją pionierską pracę, zdaje sobie sprawę tylko ten, kto sam w podobnych warunkach uczył: o głodzie i chłodzie, bez książek i pomocy szkolnej, w takich warunkach materialnych. Nie mówiąc już o tym, że sama praca jest wyczerpująca w dzisiejszych warunkach, gdy dzieci i młodzież mają tak mało wiadomości i gdy problemem jest sprawa karności. Nie pomogą wysiłki idealistów, nie pomoże otwieranie kursów i szkół kształcących nauczycieli — gdy byt nauczycieli nie poprawi się — dzieci nasze i młodzież będą skazane na wtórny analfabetyzm — bo siły fizyczne nauczycielstwa wyczerpią się.

Jeśli już jesteśmy przy sprawach ponurych — nie można nie zauważyć, że pewne historie wrocławskie są co najmniej dziwne. Chodzi o skandaliczną sprawę t. zw. „Teatru Ludowego“ we Wrocławiu. Uważam, że sama nazwa nawet, która ma w Polsce wspaniałe tradycje Cierniaków — tu została sprofanowana zawodami bokserskimi (są chyba na to inne „przybytki kultury“), idiotycznymi rewiami i „niesamowitymi wrażeniami“ (tytuł jednej z produkcji sławetnego „teatru“). Teatr to istotnie „niesamowity“. — Chyba to przeoczenie z nadmiaru pracy Wydziałów Kultury Wojewódzkiego i Miejskiego.

Najbardziej polskie, najbardziej wiosenne oblicze nadają naszemu miastu studenci i studentki uniwersytetu. Oni to o chłodzie (we Wrocławiu nie było węgla) i głodzie nie tylko mają czas na naukę, pracę zarobkową i zabawę ale pracuję też oczywiście ideowo.

Gdy widzę w tramwaju uczącego się medyka (ma na kolanach rozłożoną „Anatomię“) i gdy studentka humanistyki udzie la mi na każdym kroku uprzejmie wszelkich informacji, gdy widzę, że młodzież po tylu przejściach tak ochotnie się uczy i w takich warunkach, wierzę w przyszłość naszego Wrocławia, choć tyle denerwujących pogłosek słyszy się co dzień. (mocnym antidotum na te pogłoski jest zamiar Księgarni Wyd. Arcta, przenoszącej się z Warszawy do Wrocławia, jak również stworzenie filii Kamińskiego z Krakowa).

Ale niech młodzież przemówi sama. Oddaję głos kol. Zbyszkowi Gołąbowi, asystentowi polonistyki.

Sprawa łużycka we Wrocławiu.

Już niemal mija rok od chwili opanowania Łużyc przez wojska radziecko-polskie. Mimo tego, nie można powiedzieć, by naród łużycki odzyskał wolność. Nadal na terenie Łużyc działa cywilna administracja niemiecka a Narodowa Rada Łużycka w Budziszynie istnieje „de facto“ a nie „de jure“ nie posiadając właściwie żadnych istotnych uprawnień.

Stąd też wynika konieczność szczerej i szerokiej propagandy sprawy łużyckiej przede wszystkim u narodów bezpośrednio zainteresowanych wyzwoleniem tego najmniejszego słowiańskiego narodu, tak dzielnie opierającego się już od tysiąclecia naporowi germańskiemu. Do tych zainteresowanych należą — rzecz jasna — Polacy i Czesi.

Czesi mają już za sobą długą tradycję prołużyckiej akcji. My Polacy na ogół — nie. Trzeba nawet ze wstydem wyznać, że przeciętny inteligent polski do niedawna nic o Łużycach i Łużyczanach nie wiedział.

Ostatnio sytuacja poprawia się wyraźnie. Nasza prasa już od dłuższego czasu zamieszcza szereg artykułów popularyzujących sprawę łużycką. W Krakowie istnieje Towarzystwo Przyjaciół Łużyc, w Poznaniu A. Z. P. Ł. „Prołuż“ (stanowiące kontynuację związku konspiracyjnego powstałego w Krotoszynie w czasach akupacji), tj. Polski Ruch Obrony Łużyc.

W tej akcji i Wrocław nie zostaje w tyle. Młodzież bowiem tutejsza uświadamiając sobie w całej pełni całkiem szczególne znaczenie naszego najbardziej na Zachód wysuniętego ośrodka życia naukowego i kulturalnego — postanowiła zorganizować „Prołuż“ na wzór Poznania.

W ostatnich tygodniach przedświątecznych ukonstytuował się Komitet Organizacyjny „Prołużu“, złożony w zasadzie ze studentów slawistyki naszego uniwersytetu. Urządził on dn. 7. 4. 46 zebranie informacyjne z odczytem prof. St. Tad. Grabowskiego, slawisty krakowskiego p. t. „Trzy etapy drogi Łużyc do wolności“.

Odczyt wygłoszony przez doskonałego znawcę problemu w sposób żywy i barwny — zapoznał słuchaczy z istotą zagadnienia i zapalił na prawdę wolą bezinteresownego i szczerego poparcia dążeń brat niego narodu do wolności.

„Prołuż“ wrocławski stawia sobie cele dość ambitne. Po pierwsze zamierza zorganizować wkrótce cykl popularnych odczytów o sprawie łużyckiej, następnie kilka imprez artystycznych poświęconych twórczości Łużyczan.

W końcu pragnąłby nawiązać łączność z Budziszynem celem umożliwienia wycieczek polskiej młodzieży na Łużyce i na odwrót łużyckiej do Polski. Zdajemy sobie bowiem w całej pełni sprawę z tego, że dopiero zacieśnienie związków kulturalnych między obu narodami może stanowić trwałą podstawę dla współpracy politycznej, do której — miejmy nadzieję — dojdzie z chwilą, gdy Łużyce odzyskają niepodległość i w takiej czy innej formie zwiążą się ze swymi słowiańskimi sąsiadami.

Widzimy tedy, że młodzież wrocławska mimo ciężkich warunków materialnych ma jeszcze czas, siły i ochotę do martwienia się sprawami Łużyc. Wiosna wrocławska pracuje i myśli. Ale trzeba jej pomóc.

Wy wszyscy, którzy nie martwicie się o rzeczy niepotrzebne, pomóżcie wiośnie wrocławskiej, pomóżcie Bratniej Pomocy Studentów U. W.

Halina Polkówna

Glossy i notatki

STEFAN KOŁACZKOWSKI O INTELIGENCJI

Skarży się „Kuźnica“ że artykuł, jaki swego czasu zamieściła na temat inteligencji, nie wywołał echa w publicystyce polskiej. Nie cieszą jej też wywody Kieniewicza w numerze 15 „Tygodnika Powszechnego“ („Rodowód inteligencji polskiej“). Kierowani więc troską rozszerzenia dyskusji pozwalamy sobie poniżej zamieścić głos redaktora przedwojennego „Marchołta“ Stefana Kołaczkowskiego, właśnie analizującego to samo zagadnienie inteligencji polskiej w studium „Organizacja kultury w Polsce“, zamieszczonym w zeszycie październikowym „Marchołta“ w r. 1935: „Inteligencji nie wyodrębnia faktycznie sposób zarabiania, tak samo jak nie wyodrębnia jej ubiór, lecz **zdolność do życia duchowego, do brania bezinteresownego udziału w tworzeniu i rozumieniu wartości duchowych.** Granice „klasy inteligencji da się wyznaczyć za pomocą tylko tego kryterium i nie pokrywa się ona z klasą rodową i majątkową burżuazji, szlachty czy proletariatu. Nie jest też w interesie rządu ochrona jakiejś klasy, przeznaczonej na inteligencję z góry, i utrzymywanie tych sztucznych granic, których zresztą nigdy nie dało się ściśle przeprowadzić. Interes rządu polega na tym, **żeby każda grupa społeczna, bez względu na zawód, mogła wydać z siebie elitę,** która była by inteligencją w tym powyżej sformułowanym znaczeniu.

Każdy rząd, który nie stoi na stanowisku: apres nous le deluge musi przygotować kadry, z których wyjdą jego kontynuatorowie i musi rozumieć, że w ostatniej instancji motorem jest ideologia, że do **mechanicznego** scalenia wystarczy „spec“ i agitator lub komedia wyborów, ale do harmonijnego zespolenia niezbędny jest klej „imponderabiliów“. I istnieją tylko dwie alternatywy: albo ciągłe odżywanie partii tj. doktrynerstwa i egoizmu klas albo wydobycie z narodu **silniejszej** nad nie ponadklasowej klasy — inteligencji. Wszystkie inne to albo dyktatura, albo prowizorium . . . albo oszukiwanie się wzajemne, którego biurokratyzm jest „kwiatem“ a marazm owocem.“

Nad tym głosem nieżyjącego prof. Kołaczkowskiego warto się zastanowić.

KRÓTKIE SPIĘCIA

Kwietniowy numer „Twórczości“ zawiera bogaty materiał wspomnieniowy. od transkrypcji lirycznej przeżyć okupacyjnych, jak u Bieńkowskiego, po fragment interesującego dziennika Kuczyńskego, ukazujący nam agonię faszyzmu, ostatnie dni narastającego rozkładu, w przeddzień kapitulacji Italii.

„Twórczość“ jak zwykle ma doskonały dobór piór, proza sugestywna, zwarta, pełna trafnych obserwacyj. No i przez to, tym niebzpieczniejsza! Komentarz Redakcji, próbujący wyjaśnić, że zamieszczane opowiadania są właśnie dokumentami skażonej psychiki więźnia, właściwie oskarżeniem niemieckich oprawców, zupełnie nie wystarcza. Bo proza Tadeusza Borowskiego i Krystyna Olszewskiego ma swą, mocną i niedwuznaczną wymowę.

„Dzień na Harmenzach“ Borowskiego i „Transport Sosnowiec — Będzin“ Olszewskiego uzupełniają naszą, bogatą już literaturę obozową. Autorzy, obaj byli więźniowie, młodzi chłopcy, warszawiacy. pełnili tam funkcje starszych robotników, mogli rozkazywać i poganiać.

O ile u Szmaglewskiej, w spokojnej epickiej narracji czujemy u dna głęboki nurt tragizmu, każde słowo wibruje współczuciem i naprawdę w niemniej okrutnych scenach, odnajdujemy zawsze udręczonego człowieka, u Olszewskiego, a zwłaszcza u Borowskiego wypycha się na pierwszy plan zdrowy, odrażający bydlak. Olszewski, który dla zorganizowania lepszych butów szytych, na podwójnej zelówce) zgłasza się na ochotnika do rozładowania skazanych na gaz Żydów, jest trochę wrażliwy, załamuje się, rzyga psychicznie. Przełom ten nie jest skutkiem obudzonego serca, czy sumienia, ale po prostu reakcją fizyczną na widok potworności i masowych zgonów. Tadeusz Borowski jest bardziej cyniczny, opowiada w pierwszej osobie, nazywa narratora swoim imieniem, Tadziem, zresztą zaangażowanie uczuciowe nie pozostawia wątpliwości.

Ten młody chłopak, delektujący się czystą, jedwabną koszulą, skrzypiący nowymi butami, wśród mnóstwa Greków zdychających z głodu, budzi odrazę. Patrzy na współtowarzyszy, nad którymi góruje młodością, siłą, sprytem, znajomościami, no i paczkami, otrzymywanymi od stroskanej mamusi — jak na plugawe robactwo, gardzi nimi, bo są słabi i niedołężni. Imponują mu SS-manni, nadludzie, czyści i wspaniali, rozdający cierpienie i śmierć. Chwali się przewagą człowieka bez skrupułów, inteligentnego drapieżnika. Właściwie przejął całkowicie niemiecki sposób myślenia. Nawet nie może się powstrzymać od sadystycznych rozkoszy, oto na oczach tłumu zagłodzonych nędzarzy — „Podchodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkręcam śruby, przez nieskończenie długie pół minuty, trzymam dłoń na pokrywie i podnoszę. Nagle świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi“. Woda, tak samo jak codzień, zupa z pokrzyw. Z niedbałą nonszalancją podaje rozkaz capo do wykończenia dwu Żydów, którzy nie umieją chodzić w nogę — „Andrej! Kańczaj ich!“

Chodzi obżarty, aż mu się odbija tłusty boczek, gdy obok konają z głodu i nie widzi, naprawdę nie widzi w tym nic ohydnego, on już po prostu nie jest do tego zdolny:

Ten Tadzio z obozu, bezczelny sobek, zatracił elementarne poczucie etyki, amputowano mu w obozie sumienie, zatruto serce. Zdaje mi się, że tego typu ludzi, którzy dziś bez skrupułów inkasują zasługi, męczeństwo towarzyszy, wylezie więcej. Tłumaczenie, przekonywanie i nawracanie na człowieczeństwo tu nie pomoże. W tym tkwi nie zamierzony tragizm.

Odrażający zwłaszcza jest końcowy fragment, gdy skazany na piec, Żyd przychodzi prosić go o resztkę kaszy, której zresztą narrator nie potrzebuje, więc nie ma mowy o jakimś wyrzeczeniu, czy heroiżmie.

„— Te, Żyd, właź na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy —“ zezwala pogardliwie, a sam idzie zjeść „świetną szarlotkę, prosto od mamy“.

Proza sugestywna, dobrze osadzona w realiach, prawdziwa, tym niebezpieczniejsza, budzi odrazę i oburzenie. Oto mamy oczekiwany realizm i tylko realizm, zgodny z ciałem i jego cielesnymi prawami, realizm, który zgubił po drodze człowieczeństwo.

O jakże inne, jak bardzo ludzkie są kartki pamiętnika Szyfmana. Ten, także nie wstydzi się opisywać nikczemności i chciwości, ale od razu hierarhizuje czyny, ustala swój stosunek do nich i dystans.

Jeżeli chodzi o T. Borowskiego, Niemcy całkowicie osiągnęli swój cel, zabili w nim człowieka, zwierzę, niebezpieczne, pewne bezkarności pozostało.

Z tego zagubienia wrażliwości, zaniku sumienia, rodzą się i inne potworności, oto strofa slow-foxa, cytowana przez „Ruch Muzyczny“. „Na okładce wymalowany jest pięknie obóz koncentracyjny w Sandbostel, druty kolczaste, wieże strażników, karabiny maszynowe i wychudłe postacie więźniów. A oto fragment tekstu:

„Jesteś jeńcem, nie jesteś już człowiekiem,
na piersi numer, w sercu gorycz, w oczach łzy.
Lecz przyjdzie czas, że sen koszmarny minie
i strząśniesz z piersi numer, z oczu gorzkie łzy,
Wspomnienia złe utopisz w dobrym winie . . .“

Jeden z moich kolegów pokazywał mi zgłoszony tekst tanga „Majdanek“:

„— Nie wiedziałam, że Niemcy to bydło,
że za włosy będą mnie wlec,
że przerobią mnie całą na mydło,
że mnie rzucą w ognisty piec.
Nie myślałam, że ja cud kochanka,
będę przechodziła z rąk do rąk,
będę pienić każdego się ranka,
jak pieniłam się wtedy wśród mąk!“

To już nie wymaga komentarzy! **Aga.**

Patrzymy na ekran

Kino „Słońce“ wyświetla film wojennej produkcji angielskiej pt. „Zajazd na rozdrożu“.

Dziwnie plątały się ścieżki życiowe mieszkańców walczącej wyspy w trzecim roku wojny. Nie było tam coprawda problemów okupacyjnych z ich straszliwą wymową, ale trzeba było żyć i to bynajmniej nie po angielsku, o to już starali się z wrodzoną sobie zapobiegliwością niemieccy goście powietrzni, wyrodni „kuzyni“ z drugiej strony La Manche. Pozostały tedy zwyczajne, ludzkie troski, wzmożone tylko i wykontrastowane przez wojnę. Detonacje przetasowały ulice, rzadziej sumienia i flegmatyczny tłum lordów, bokserów i marynarzy musiał przyspieszyć kroku, musiał zadecydować. Trzeba było bohaterstwa na codzień, poświęcenia szybkiego, zdyszanego. **Improwizacji czynu.** To już nie były Indie. Tu już nie mogła wystarczyć karna ekspedycja ani obowiązkowy pierwszy toast na cześć króla. — wznoszony w tropikach przy lunchu. Od tej chwili już „mój dom przestał być moją twierdzą“. W święte bramy tej twierdzy biły już pięści barbarzyńców. Zaroiło się tedy na ulicach „Old England . . .“

W tym historycznym momencie nadszedł inteligentny reżyser filmowy, zanurzył na ślepo, bez wyboru rękę w roztrzepotaniu, intrygach, defraudacjach, paskarstwie, wszystkich plagach wojny, szumiących w korytarzach londyńskiego City i wyjął z niej garść ludzi splątanych, zgubionych i bez sensu. Skinął drugą ręką: podjechał usłużny obiektyw. Tak powstał ten piękny film. Film życia skonfrontowanego ze śmiercią w przedziwnie pastelowy sposób. Bo właściwie bomby spadające pod koniec filmu nie są bombami. Ich wogóle nie ma. Nie istnieją, tak jak nie istnieje zajazd na rozdrożu zbombardowany wraz z gospodarzami przed rokiem.

Nie to jest jednak ważne. Ważny jest główny motyw filmu, podkreślający w sposób bardzo sugestywny niepopularną dziś prawdę o odradzającym wpływie wojny. Po to darowano tym rozbitkom z City jedną dobę sprzed roku, by mogli sami przeżyć ostatni dzień zajazdu na rozdrożu. I oto w końcowej scenie widzimy ich, jak na tle palących się zgliszcz przekraczają mistyczny próg dzielący śmierć od życia by wejść na swoje, wyprostowane już ścieżki. W tym odwróceniu hierachii rzeczywistości, gdy człowiek odchodzi od śmierci i wchodzi w życie, po to, by je teraz już przeżywać *i n a c z e j*, tkwi cała subtelność faktury tego pięknego filmu.

Reżyseria bardzo inteligentnie podkreśliła wszystkie rzeźby tego arcydziełka. Obsada bez zarzutu z autentyczną Francuzką, grającą rolę uchodźczyni z Francji — na czele. Nazwisko jej: Francois Rossay, świetna przedwojenna partnerka filmowa — Sacha'y Guittry.

Wstrząsający ten film powinno się chyba grać za darmo, na wolnym powietrzu, żeby wszyscy go mogli przeżyć. **Aleksander Baumgardten.**

Co robią Niemcy

Ażeby ustalić należycie nasz stosunek do współczesnych Niemieć, żeby mieć równocześnie jasny pogląd na to wszystko, co dzieje się za naszą zachodnią granicą — **koniecznym jest rozwój nowej gałęzi wiedzy, niemcoznawstwa.** Niemcoznawstwo — termin niezbyt szczęśliwy — jest jako wiedza samodzielnie pojęta czymś nowym. Tradycji w Polsce właściwie nie ma, na wyższych uczelniach było jedno ze składowych części germanistyki, poszczególni zaledwie uczeni poświęcali się badaniu spraw niemieckich, najczęściej jednak tylko na tych płaszczyznach, na których stykały się one ze sprawami Polski i Słowiańszczyzny. Zainteresowania w kierunku niemcoznawstwa bujniej zaczęły się krzewić dopiero w czasie okupacji. Od roku natomiast obserwujemy napływ pracowników naukowych, oddających się tej nowej wiedzy. Przy czym nasze poznanie stara się ogarnąć całość życia niemieckiego, procesów duchowych i historycznych niemieckiego narodu, a nie tylko te fragmenty żywota niemieckiego, w których spotykają się interesy Niemiec i Słowiańszczyzny.

Jeszcze parę miesięcy temu na Kongresie Dziennikarzy Zachodnich w Poznaniu Edward Serwański narzekał na **niski stan niemcoznawstwa w Polsce.** W kierunku poprawy tego stanu nie uczyniły dotąd nic t. zw. czynniki oficjalne, cała ta wiedza, która tak bardzo przyda się naszym politykom i wojsku, dźwignięta została przez garstkę pracowników naukowych, społecznych i dziennikarzy. **Główne sztaby niemcoznawstwa mieszczą się w Poznaniu.** Należą do nich **Instytut Zachodni, P. Z. Z. i Zachodnia Agencja Prasowa.** Szczególnie ta ostatnia oddaje nieocenione przysługi społeczeństwu polskiemu przez stały serwis prasowy, w którym wiadomości z Niemiec okupowanych zajmują poczesne miejsce. Szkoda tylko, że są to wiadomości zbierane bezplanowo i przypadkowo, np. nie widać w nich istnienia planowego nasłuchu radiowych stacyj niemieckich — ale jak na inicjatywę prywatną jest to już bardzo wiele. Państwo musi przyjść ZAP-owi z daleko idącą pomocą materialną, państwo też winno pomóc tej agencji w zorganizowaniu stałych korespondentów na terenie Niemiec. PZZ. działa głównie przez swój tygodnik „Polskę Zachodnią“ a Instytut Zachodni przez swe wydawnictwa książkowe oraz doskonały „Przegląd Zachodni“.

Drugim ośrodkiem zainteresowań i prac niemcoznawczych jak na razie są Katowice. Miejscowy PZZ. we wskrzeszonej tu „Strażnicy Zachodniej“ zajmuje się problemami nowych Niemiec poważnie i rzeczowo. **Instytut Śląski** działa przez „Zaranie Śląskie“ i książki. **Zespół „Odry“**, jak wynika z dotychczasowych 25 numerów pisma, uważa poznawanie Niemiec za zadanie równie ważne jak poznawanie Ziem Odzyskanych. I my patrzymy na Niemcy nie z samej tylko perspektywy Odry ale z perspektywy całego narodu. polityki europejskiej, ba — z perspektywy całej ludzkości. Bo problem niemiecki jest dla nas problemem ogólno-ludzkim a ocena wydarzeń niemieckich, zdążających do zbudowania silnej Czwartej Rzeszy, nie jest jedynie oceną narodu lękającego się wzrostu siły u swego odwiecznego wrogiego sąsiada. Już w lipcu ub. roku a więc zaledwie w dwa miesiące po kapitulacji Niemiec zaczęliśmy na łamach „Odry“ notować skrupulatnie wydarzenia, zachodzące w Niemczech, a więc odbudowa życia niemieckiego, krzepnięcie nowej sytuacji politycznej. Rozpoczęliśmy tę służbę wówczas, kiedy pewne odłamy prasy polskiej z sympatią witały nowe tendencje polityczne i kulturalne w Niemczech, że wspomnimy tylko łódzką „Kuźnicę“, wówczas jeszcze miesięcznik i tygodnik „Radio i świat“, który z niesłychaną łatwowiernością przyjął deklarację ideową berlińskiego Kulturbundu. Radość to była krótka, bo już wkrótce okazało się, do czego zmierzają politycy i pisarze nowych Niemiec. Później przyszedł nam w sukurs wspomniany już Instytut Zachodni.

Dziś niewielu już tylko jest naiwnych, którzy wierzą w szczerość demokracji niemieckiej. Także niewielu już jest komunistów polskich, którzy pod hasłem „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“ chcieli by także zgromadzić Niemców.

Niemcoznawstwo staje się wiedzą poważną a publicystyka ma za zadanie popularyzować jego wyniki. Ukazuje się coraz bogatsza literatura na tematy nowych Niemiec. Omówimy kilka ostatnich wydawnictw.

Z serii broszur z okazji Tygodnia Ziem Odzyskanych, wydanych przez P. Z. Z. poznański, spotykamy także pracę **dra Alfonsa Klafkowskiego pt. „Niemcy na szlakach odbudowy“.** Klafkowski, którego świetny artykuł o nowym państwie niemieckim w stadium organizacji z „Przeglądu Zachodniego“ referowaliśmy swego czasu na tym miejscu, wychodzi w swej broszurze z założenia, **że Niemcy nie zostali złamani psychicznie.** Drugą jego przesłanką to to, że zasadnicze elementy niebezpieczeństwa niemieckiego — z naszego polskiego punktu widzenia — nie ulegają żadnym zmianom. Za dostateczną przyczynę do zastanowienia się nad zasadniczymi składnikami niebezpieczeństwa niemieckiego uważa to, że w rok po kapitulacji Niemiec zamiast mówić o ich zniszczeniu, musimy mówić o ich odbudowie. Niemcy pozostali nadal i będą niezmiennie czynnikiem silnego naporu biologicznego i gospodarczego. Jako ważny postulat pod adresem nauki polskiej wysuwa Klafkowski natychmiastowe opracowanie i ujęcie niemieckich zagadnień ludnościowych. 65-cio milionowy naród niemiecki o gęstości zaludnienia parokrotnie wyższej od Polski nie wyrzeknie się nigdy swego Drangu nach Osten, zwłaszcza, że ziemie po tej stronie Odry długo jeszcze nie będą miały należytego nasycenia ludźmi. W tym nierównomiernym rozkładzie stosunków demograficznych polskich i niemieckich kryje się niebezpieczeństwo bardzo poważne. Różnice polityczne między państwami zwycięskimi przyczyniają się do ratowania Niemiec pod względem gospodarczym.

Omawiając walkę o centralny zarząd Niemiec pisze Klafkowski zdecydowanie i jasno: za walką tą kryje się niemiecki rewanż i pogotowie polityczne całego narodu niemieckiego. 75% Niemców według oświadczenia marsz. Montgomery'ego przesiąkniętych jest światopoglądem hitlerowskim. Utworzenie surogatu rządu niemieckiego oznacza zatem utworzenie aparatu państwowego dla przesiąkniętego hitleryzmem narodu. Wniosek końcowy: **musimy dążyć do jak największego osłabienia Niemiec a więc linia Odry i Nisy, poprawiona o szereg punktów na lewym brzegu tej linii.** Ten program musi także objąć i sprawę Łużyc a poza tym należy pamiętać, że wszystkie żądania terytorialne Francji są również naszymi żądaniami terytorialnymi.

Bolesława Srockiego „Polska i nowe Niemcy“ (Instytut Bałtycki, Gdańsk — Bydgoszcz 1946, stron 35) składa się z dwóch rozdziałów. Pierwszy rejestruje i komentuje ostrzegawcze sygnały historii, w drugim mowa jest o problemie „przeludnienia Niemiec“.

Srocki odróżniający dwa ciągi wzajemnych stosunków polsko-niemieckich, wojenny i pokojowy, wysuwa wnioski na przyszłość. Różnice między przedwojenną polityczną emigracją niemiecką oraz obecną demokracją niemiecką a Hitlerem widzi nie w treści lecz w wyborze dróg. „Hitler był tym, który przejął inicjatywę z rąk „dobrych“ Niemców, by już przodującemu w wielkim wyścigu narodów rydwanowi niemieckiemu nadać szaleńcze tempo . . .“ **Podstawy faktycznej kulturalnej, politycznej i gospodarczej hegemonii Niemiec na kontynecie europejskim zakładał nie Hitler lecz Stresemann** — oto słuszna przesłanka Srockiego. I on widzi podstawy przyszłego bezpieczeństwa świata w realizmie doraźnych postanowień politycznych i terytorialnych a więc linia Odry i Nisy oraz conajmniej całość wyspy Uznam dla Polski; wyodrębnienie i usamodzielnienie klinu łużyckiego; międzynarodowa obsada kanału kilońskiego i wojskowy powrót Francji na linię Renu oraz wyodrębnienie polityczne Westfalii. Autor uważa, że w obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego **nakaz dziejowej solidarności polsko-czeskiej jest nakazem nadrzędnej konieczności politycznej.**

Szczegółowo omawia stosunki demograficzne współczesnych Niemiec wyprzedzając tym postulat Klafkowskiego. Oblicza ludność niemiecką na 68 milionów przy gęstości zaludnienia około 190 mieszkańców na 1 km. kw. Na podstawie zestawień niemieckich autor stwierdza, że nieprawdą jest, jakoby Niemcy utracili na rzecz Polski swoje rezerwy terytorialne. Wręcz odwrotnie — oddają oni ziemie, na których od stulecia hodowały właśnie swoje rezerwy ludnościowe dla pozostających nadal w ich posiadaniu, wiecznie głodnych człowieka obszarów centralnych i zachodnich. Ziemie na wschód od Odry były zatem rezerwą ludnościową i człowiek był ich podstawowym surowcem. Na czytelnika zagranicznego prawdopodobnie obliczone są wyniki badań przeciwko tezie o „przeludnieniu“ Niemiec na skutek ich okrojenia terytorialnego. Srocki rozprawia się przytem z niemieckimi hasłami w rodzaju Volk ohne Raum.

Ta druga praca Srockiego jest pozycją poważną i wartościową w naszej literaturze niemcoznawczej. Sprawami tymi zajmiemy się jeszcze w osobnym artykule.

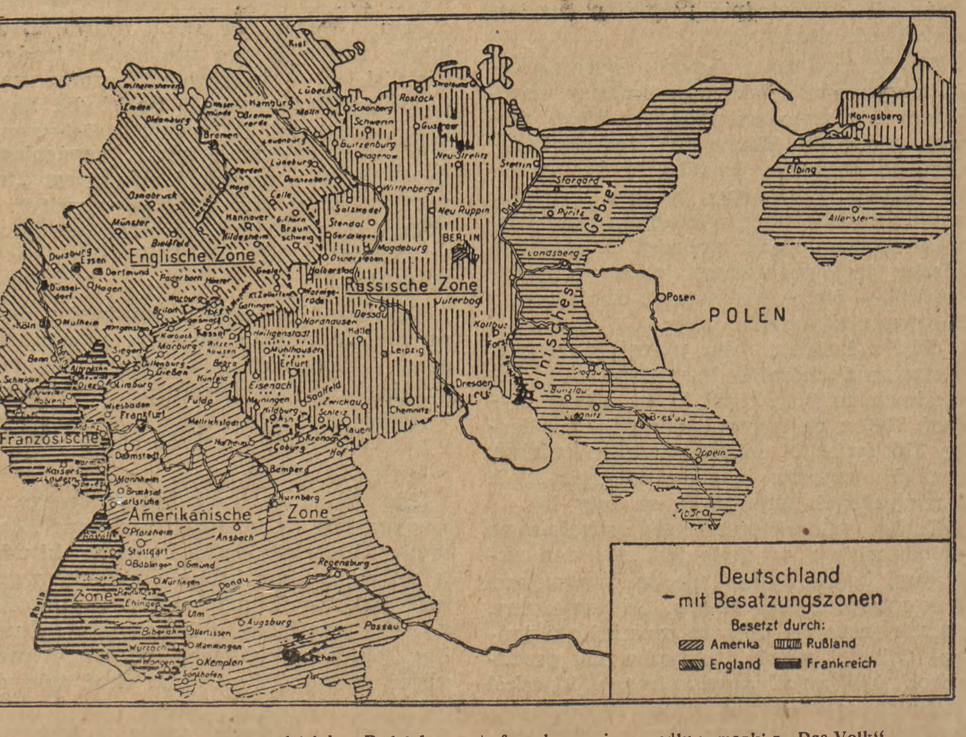
W ostatnim numerze „Przeglądu Zachodniego“ Aleksander Rogalski pisze o odrodzeniu nauki niemieckiej. Omawia życie i stosunki na uniwersytetach niemieckich, przy czym najcenniejszym rozdziałem jest ustęp mówiący o ideologii nowej niemieckiej nauki, oparty na cytatach z prasy niemieckiej. Polecamy przeczytanie tego artykułu. Nie omawiamy go szerzej, bo podobne fakty rejestrowaliśmy także i w naszej rubryce. **„Bibliografia Zachodnia“** (druki nie periodyczne z roku 1945) zapełniona jest do połowy tytułami prac o charakterze niemcoznawczym. Było by wskazane, żeby tenże Instytut Zachodni pomyślał także o sporządzeniu bibliografii prac ogłoszonych w czasopismach, bo inaczej zmarnuje się wiele ciekawych spostrzeżeń i sądów dla przyszłych wyników naszej wiedzy o Niemcach.

Na koniec warto wspomnieć o **specjalnych biuletynach prasowych ZAP-u,** zawierających przegląd prasy zagranicznej na temat Niemiec okupowanych.

(wisz)



Tak miały Niemcy wyglądać według książki Th. N. Kaufmana „Germany must perish“ wydanej w Ameryce w r. 1941.



Tak wyglądają Niemcy dzisiaj. Podział na strefy okupacyjne według mapki z „Das Volk“. Jak będą wyglądać jutro?

Od dnia 1. m a j a br. czynny jest w SZCZECINIE oddział redakcyjny „ODRY“, którego kierownictwo objął dr. Stanisław TELEGA, Al. Wojska Polskiego Nr. 73.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“, Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik“ — R 4537.